

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

CHATA ZA WSIĄ

Józef Kraszewski

Chata za wsią

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843014

Chata za wsią:

Аннотация

Chata za wsią to powieść, która porusza tematy ludowe, a dokładniej dyskryminację społeczności cygańskiej. Tumry i Motruna są szczęśliwym małżeństwem. Mężczyzna porzuca wędrowny tryb życia i dla ukochanej postanawia osiąść we wsi i zająć się kowalstwem. Jednak na związek Tumrego i Motruny nieprzychylnie patrzy ojciec dziewczyny i wrogo do nich nastawia całą społeczność wiejską. Małżonkowie są dyskryminowani, nikt ze wsi nie chce do nich wyciągnąć pomocnej dłoni. Sytuacja się pogarsza, gdy do wsi przyjeżdża Aza, dawna miłość Tumrego. Nędza i rozterki sercowe doprowadzają do samobójczej śmierci mężczyzny. We wsi zostają jego żona i córka, Marysia. Niebawem jednak i Motruna umiera, pozostawiając dwunastoletnią córkę. Czy młoda dziewczyna poradzi sobie w miejscu, gdzie nie jest mile widziana? Powieść uważana jest za jedną z najlepszych książek pisarza – kilkakrotnie była adaptowana na potrzeby teatru, opery i filmu, przetłumaczono ją na języki białoruski, rosyjski, francuski, czeski, niemiecki, słoweński i ukraiński.

Содержание

Том I	5
I	5
II	9
Том II	110
Конец ознакомительного фрагмента.	112

Józef Ignacy Kraszewski

Chata za wsią

PAŃSTWU

MICHAŁOWI I MARYI Z SZYMANOWSKICH

VON BLUMENFELDOM,

MALEŃKA, TĘ PAMIĄTKĘ PRZESYŁA

J. I. Kraszewski.

z Hubina, dnia 20. Grudnia 1852. r.

Tom I

I

Rzadko człowiek postawiony szczęśliwym losem na wygodniejszym nieco stanowisku, chce zwrócić oko na to, co się niżej niego dzieje; używamy, nie chcemy się uczyć, nie lubimy rozpatrywać. Często wejrzenie takie sprowadziłoby łzę, przypomniałoby ciężkie do spełnienia a konieczne obowiązki; wolimy więc wędrować dalej z głową wzniesioną ku marzeniom, lub odwróconą ku sobie, a co pod nogami mijamy. Tak idąc, ileżto przepuścimy mimo siebie prawdziwych życia tajemnic, których w żadnej nie znajdziemy książce, na żadnym obrazie, w najfantastyczniejszym nawet marzeniu!

O! szkoda zaprawdę, bo jeden tylko Bóg z góry patrzy na te tysiące ubogich żywiołów, w których jest więcej siły, piękności, energii i cnoty często, niż w cisnących się nam na oczy dramatach, którym chyba świecące ramy dają prawo do ludzkiej ciekawości, zajęcia, pamięci.

Nieraz wpatrując się w odartego żebraka, w ubogie dziecko wioski, które zostało sierotą i żyło spleśniałym chlebem jałmużny, myślałem sobie: ileby nauki dla nas wytrysnąć mogło z mikroskopowego wejrzenia na te pełne bólu, upokorzeń, nędzy i odrzucenia – życie nieznanych, nieszczęśliwych, zapartych istot,

ledwie widnych na świecie...

Wiemy doskonale jak płyną godziny szczęśliwym, bogatym, znaczącym, spowitym w cieniuchne pieluchy od urodzenia i w brązowanych spoczywającym trumnach; wiemy, jak ich wodzą na paskach, jak musztrują dla przyszłości, jak chodzą, jak się kłaniają, co jedzą, jak się stroją, żenią, zwodzą, i rozwodzą, starzeją, głupieją, ziewają i umierają: a któż kiedy wypowiedział formy żywota nędzarza? Przecież przed Bogiem i w oczach badacza ludzi, te dwie egzystencje, z których jedna tak się błyszczy, druga tak kryje niepozorna, równie są wielkimi i znaczącymi. Motyl i najmizerniejszy robak zarówno są potrzebni na świecie i jedno mają prawo życia. Naturaliści równie śledzą obyczaj i instynkta drobnej muszki i ogromnego sępa; czemużby powieścio-pisarz nie miał też równie prawa opisywać drobnostkowo życie jednej z tych liszek, które pełzną po czarnej ziemi, zdeptane nogą niebaczną, giną niepostrzeżone i niepożałowane?

W ogromnej a dziewiczej jeszcze przestrzeni historii człowieka ileżto zakątów ciemnych, niezbadanych, opuszczonych!

Jak owi pisarze dawni, co mijając drobne twory, szli naprzód poznać się z temi, co im w oko wpadały ogromem, kształtem lub barwą; myśmy też w historii człowieka do zbytku i przesytu namalowali już obrazów uderzających, mijając wdzięczne równie, ale mniejsze, skromniejsze i nie tak łatwe do pochwylenia.

Dopiero dzisiaj postrzegać się poczynamy, żeśmy w wielki błąd popadli: że wszystkie nasze obrazy społeczności są niepełne i kulawe, że im brakuje jednej strony, i żeśmy wzięli część za całość i odjęli wszelką ważność temu, co w istocie jest może najważniejszym.

Z innego stanowiska, obrazy te pod względem sztuki przechodzą i przechodzić muszą jak sztychy wyobrażające mody paryzkie, które się wkrótce śmiesznymi stają. To, cośmy przywykli zwać społecznością wyższą, jest kosmopolitycznym amalgamem prawie wszędzie i zawsze, na którym się więcej odbija barwa uprzywilejowanych stolic mody, niżeli kraju z którego łona powstaje. Tak niegdyś Ateny, potem Roma, dziś Paryż i Londyn, dają światu konwencyonalnemu, zwanemu wyższym, ton i koloryt. Salon najświetniejszy jest ten właśnie, który się najwięcej zbliża do cudzoziemskiego ideału. – W Londynie ideałem bywał Paryż, w Paryżu trochę małpują Londyn, a po całym świecie obie stolice; a nigdzie jak tylko u nas wszystko, co tylko obce. Wartoż tak upokarzającego szau rysować wzorki i uwieczniać tak niesłychane zaparcie się siebie, poddaństwo mniemanej wyższości? – Nie wiem. To pewna, że jakkolwiek życie wyższych towarzystw wielce być może miłym, swobodnym w pewnym względzie (bo na straży wszystkim wybrykom stoi na szyldwachu konwenans), ja tego życia sznurowanego i krochmalnego nie lubię – przynajmniej malować. Musimy w niem żyć; – ha! żyjemy; musimy pod klątwą małpować zagranicznych dudków: małpujemy; ale żeby

nasze kuse fraczki i kuse zfrancuziałe rozmowy zasługiwały na malowanie i studia!!... **nego! nego! nego!**

Spojrzyź niżej! – Brudno – powiecie? Niestety, brudno istotnie; ale jak dla malarza dziedziniec opuszczonej chaty daleko jest lepszym przedmiotem do obrazka, niżeli wywoskowany salon z kolumnami; tak i dla powieścio-pisarza, łachman daleko bardziej malowniczy od krochmalnej sukni balowej i werniksowanych bucików eleganta.

Cały ten ustęp ma jedynie na celu wytłómaczyć mnie przed czytelnikami (nie myślę się bowiem uniewinniać przed krytyką, której u nas rzemiosłem hałasować i czernić); wytłómaczyć się z przedmiotu téj powieści. Darujcie mi, że was wprowadzę między odarty tłum, do ciasnej chatki; że wam dotykać każę łachmanów i żyć godzinę w towarzystwie ludzi, co nie umieją po francuzku i nigdy się nie uczyli grać na fortepianie! Może też na końcu téj bajki znajdziecie i do waszego życia pożyteczny sens moralny, który często mimowoli nawija się autorowi: bo autor każdy wzoruje z dzieła bożego, a w bożych tworach sens moralny jest w najdrobniejszym kamyczku. Chodzi tylko o to, żeby kamyczek przemówił a człowiek zrozumiał.

II

Byłato sobie... – wioska (niestety! niestety! znowu na pograniczu Wołynia i Podola) trochę jeszcze wołyńska, już nieco podolska; leżała w dole, co na jakiś jar zakrawał. Po nad nią na równinie szerokiej, ciągnęły się złociste łąny zbóż niewielkimi czarnymi przecięte laskami; środkiem sioła biegła ledwie dojrzana rzeczulka, w dość duży staw zebrana. Chaty poprzyczepiane do ścian wzgórza, w zielonych drzew wiązkach białeły wesoło, spoglądając z wysoka ku stawowi, który je w czystych wodach odbijał.

Cicho, zielono, spokojnie, dobrze jakoś było w tym rozdole, który w czasie potopu umyślnie wyżłobić musiały wody, kierowane ręką, co wiedziała, że tu kiedyś ludzie osiedą. I drzewom i chatom i ludowi było tam jak u Pana Boga za piecem; kawałek nieba zawsze jasny prawie świecił nad nimi, rzadko maleńki orzeźwiający wiaterek przeniosły tędy opiekuńcze duchy, a burze zawsze szły sobie gdzieś bokiem na lasy i bory.

To też osada rozkrzewiając się coraz dalej a dalej, posuwała się jarem nad rzeczką, i coraz to nowa chata biała zaświeciła w krzakach leszczyny i tarna, zarastających boki rozdołu. Na wysokiej płaszczyźnie wzgórza, jeden tylko cmentarz za wioską wyniesiony, po nad nią krzyżami górował; to też bardzo był smutny, i nie wiem jak ci ludzie do tak różnych chatek

śmiejących się przywykli, mogli spać potem na tak opuszczonym rozłogu. Musiało tam dużo wstawać upiorów wygnańców i po nocy powracać do zacisznych siedzib swoich.

Cmentarz ten, byłato jedyna część osady zupełnie brzydka, jeśli go jój częścią nazwać można. W istocie łączył się on z nią prawie; chaty czepiając się góry, wychodziły aż ku niemu, rozsypane po nad drogą; na wierzchołku góry były wrota na łan, i aż do nich przypierał cmentarz. Nie wiem, czyście kiedy przypatrzyli się wiejskiemu cmentarzykowi w okolicy żyznój, gdzie każda piędź ziemi droga? Jakto tam skąpo wymierzono gruntu umarłym, jak im tam ciasno i duszno! Sąsiedzi w strachu, żeby się cmentarz w ich grunta nie worał, opasali go wałem i rowem; ale nikt nie pomyślał posadzić drzewka, coby szumiało i płakało nad mogiłami. Tylko badyle ostów i zielska co się wszędzie uczepią, obrosły i stare groby i przeszłoroczne nawet mogiły; tylko trochę pokrzyw i dziewanny w żółte strojnój dzwonki, gdzieniegdzie zielenieją na tyłą łez użyznionój roli.

Ale za to co za las krzyżów i krzyżyków! Nie każdego stało na mocny dębowy, na wielki i malowany; ubożsi wystrugali go sobie z kijów, wypiłowali z kruchój tarcicy i zatknęli krzywo niedbale, na niedługo: pierwsza burza je wyróci, kilka lat w próchno zamienia. Tam żółci się jeszcze świeżuchny grób, na którym nie miała czasu trawa się zasiać i uśmiechnąć zielenią: owdzie zamiast pagórka, dół już wklęsły tylko. Takto i z zalem, jak z mogiłami bywa: gdzie rósł do góry, wkrótce próżnią tylko po sobie zostawia... Na wale, na rowie, jedno wejście, jedna

bramka ciasna, ale nią wchodzi umarły i jeszcze mu za szeroka; nad nią krzyżyk, a wrotka dawno służą za mostek, bo dyle jego rozpadły się i zgniły, leżąc w rowie głęboko.

Jeśli we wsi zacisznej wiatru i burzy nie słyszeć, za to nieboszczyków na tej górze żaden wichur nie minie, żeby nie odwiedził; dużo on tu już krzyżów podruzgotał! Miarkujcie jak to tu smutno, jak ciężko być musi umarłym, a cóż dopiero żywemu!!

Bo tuż, przez drożynę tylko, o sześć kroków od wrot, nie widzicie? stoi chatka przyparta jedną ścianą do góry obrywu, drugą obrócona na cmentarzysko.

Chatka! oj złe nazwanie – lepianka chyba; i to jeszcze zawiele może – szalas, ale i nie szalas jeszcze, stoi to coś co się nazwać nie może, a jednak to nie jama zwierzęcia, to widocznie pomieszkowanie człowieka. Trudno jest sobie coś nędzniejszego wystawić. Naprzód, że to w bezlesiu, zbudowano ją z kawałków drzewa pozbieranych gdzieś po drodze, może przyniesionych z wiatrem lub burzą, bo większe i lepsze polana nosi dobry wichur, gdy się rozhula. Ale czego to nie dokażą we dwoje; – człowiek z nędzą? Za dwie ściany służyła góra wilgotna, którą deszcze wygładziły; dwie drugie ulepione jak gniazdo jaskółcze. W istocie, znajdziesz w nich to, co w gniazdku tej przemyślniej ptaszyny; drzewko, słomę, glinę, błoto, zbite razem i misternie zlane w całość, która się trzyma i stoi. Zamiast dachu, narzucono kołków z płotu i krzywych gałęzi leśnych, i słomy jeszcze, i nie wiem tam czego, a pokryto darnią!

resztę Bóg dokończył; zasiawszy na tej płaszczyźnie bujne bylice, pokrzywy, dziewanny, trawy i zioła liściowe, które związały kruche pokrycie lepianki. Szumi tam na dachu cały łąn chwastów tak dorodnych, tak bujnych, jakby, na mogile! Z pośrodku nich wypleciony z chrustu, olepiony gliną, wystąpił dymnik, kawałkiem stariej maty przyrzucony i udaje komin, z wielkim talentem komedyant!!

Nie nudźcie się, nie nudźcie kochani czytelnicy to coś ciekawszego doprawdy od opisu pałacu w stylu odrodzenia, lub willi gotyckiej. Idziemy dalej.

Ściany żeby się nie obaliły, bo jednakże całkiem im nie wypadało dowierzać (cóż na świecie nie zdradza, kołki nawet!), ściany obwiódł przemyślny budownik przyzbą, która je trzyma i nie puszcza; górą już się chylą, dołem ani sposobu: dwa czy trzy drażgi krzywe, zamiast szkarpów służą. W tych dwóch ścianach minęliśmy drzwi i okna, niemniej przecie od reszty opisanego warte. Okna? nie wiem czy tak nazwać można te dwa otworki nieregularne gliną oblepione, w które wstawiono bez ram, kilka brudnego szkła kawałków. Jużciżto okna, bo choć nie puszczają powietrza a światła dają niewiele, ale oszukują przechodzących, zaręczając, że w chacie widno być musi.

Ze drzwi trudniej się było budowniczemu wykręcić ale wielki to budowniczy nędza: tworzy z niczego, żaden Palladio tego nie potrafi. Cud to prawdziwy te drzwiczki, tylko im się pilno przypatrzcie. Sięgają aż pod sam dach zbyt niskie i mówić się zdają: niech się wchodzący nie schyla; a i one razem z kominem

i oknami grają komedią, bo przyszedłszy bliżej, masz ich właśnie po pas! Ale i na takie drzwiczki niemało potrzeba było pracować, niemało. W bezleśnym kraju któżby to tak deskę porzucił, żeby ją można wziąć, nie powiedziawszy nawet: Bóg zapłać. A ten, co lepiankę stawiał, widocznie musiał po zapłacie odsyłać do Boga. Oddałbym te drzwi do muzeum, gdyby ci, co szanują starożytne naczynia potłuczone na kawałki, umieli przeczytać z rozbitych drzwiczek, ile westchnień złamało pierś co je lepiła. Patrzcie, ile tu sztuczek spojonych misternie, ile klinów, wstawek, kawałków, dziur kołkami pozabijanych, drażków pozamienianych na deszczułki tępą siekierą i słabą ręką. Co tu się zeszło rodzajów drzew zdziwionych, że im przyszło jedną pełnić służbę; sośnina, dębina, osika, brzoza i harda nawet grabina, co tylko młynarzom służyć zwykła, musiała dostarczyć kołków. Byłóż tu pracy, było; ale to dawno, bo dęszcz i powietrze jedną szatą szarą pokryły tych wszystkich przybyszów, których nierówność stanów ledwie teraz rozpoznać można.

Wystawcież sobie taką chatkę, takie schronienie bez nazwiska, przylepione do góry, naprost cmentarza, na łysym wzgórk, od wsi o staje; a spytacie pewnie, któż tam mógł budować się i mieszkać?

Ten, co zwykle mieszka w lepiankach – ubogi; istota często winna sobie swą nędzę, często niewinna przed Bogiem, choć przez ludzi wyklęta; biędne stworzenie, które spieszy się umrzeć, żeby odpocząć, bo mu żyć nie ma po co.

Mógłże być stosowniejszy widok dla nędzarza, nad miejsce

wiekuistego spoczynku?

Wioska, którąśmy widzieli, zwała się Stawisko. Dalej, dalej w jarze, ku górze już nieco, w kłębach zieloności, u rzeczki zakrętu, miała dwór bielejący zdaleka; śliczny dwór, nowiuteńki, czyściuchny, a tak posadzony zręcznie, że z niego widać było co tu najpiękniejszego dał Bóg: wodę, góry, chatki, cerkiewkę, kościółek i lasy w dali. Cmentarza ztamtąd ani słycho, ale też po co tam cmentarz?

Kto mieszkał we dworze, dowiemy się później: teraz się zwrócimy do chatki.

Przed laty kilkudziesięciu, nim jeszcze ten wspaniały dwór stanął i angielskie ogrody zajęły miejsce warzywnych, do Stawiska przywlokła się raz gromada cyganów, której, jak zwykle, naczelnik zajmował się kowalstwem, krewni byli pomocnikami, a rodzina wróżyła i kradła. Że już naówczas coraz rzadszemi stawały się pielgrzymki tych zagadkowych włóczęgów, których pochodzenie i język dotąd nieprzebitą pokryte są tajemnicą; cała swobodna część ludności powybiegała przyglądać się przybyszom, co po secinach lat wygnania, jeszcze nosili wypiętnowany na czołach ślad pochodzenia swego, kędyś z ogorzałego Wschodu czy Południa.

W istocie; w twarzach i stroju tych przybłędów było coś tak nienaszego, tak obcego, że obojętny nawet wieśniak zwrócić

musiał oczy na tych ludzi innego świata i innego życia, nie umiając pojąć ani ich wygnania, ani dobrowolnej koczującej doli.

Wszystkie baby, nawet te, które miesiły chleb, z zakasanemi po łokcie rękawami powybiegały przed sień, wiodąc ciekawe a przestraszone dzieci za ręce i trzymając je silnie, w obawie, żeby ich cyganie nie porwali; wszyscy starzy wystąpili aż na drogę, a powracający z pola, było bowiem wieczór letni, zatrzymywali się z pługami wśród ulicy. Banda tych cyganów składała się z kilkunastu głów i szła powolnym krokiem aż pod karczmę; najdorodniejszy, słusznego wzrostu mężczyzna prowadził wóz, na którym widać było mały, połatany mieszek kowalski, złożony namiot, przenośne kowadełko i inne żelaztwa i manatki. Wśród tych rupieci siedziała średniego wieku kobieta, niewygodnie skurczona, z dzieciąciem u piersi.

Istna to była czarownica: czarny włos spadał do koła jej ogorzałej twarzy o oczach błyszczących, i koralowych szerokich ustach; fałdzista wielka chusta osłaniała ją całą. Na kolanach leżało dziecko nagie zupełnie i ustami przychepione do macierzyńskiej piersi.

Wzrok téj kobiety, na której twarzy widać było znużenie, boleść i smutek, nie odwracał się od dziecka ani na chwilę; zdawała się coś roić o niém, a na resztę świata nie chcieć spojrzeć nawet. Mężczyzna, który silną dłonią wiódł za sobą wóz ich podróżny, był nadzwyczaj barczysty, ogromnego wzrostu i srogiej a chmurnej fizyognomii. Czarny, z piersią obnażoną i kudłami porośłą kruczemi, okryty ledwie koszulą dziurawą,

zasmoloną i zdartymi spodniami, szedł bosy, z odsłonioną głową, której tylko włos kędzierzawy bronił od słońca i wiatru; ale mimo łachmanów szedł tak dumnym krokiem, z tak poważnym wejrzeniem, żeś zaraz w nim poznał wodza gromady, **Romów** (tak się zowią często cyganie).

Koło niego, po za nim, wlokła się reszta rodziny: troje dzieci nagich, różnego wzrostu, od dwunastu do ośmiu lat mieć mogących; chłopak dwudziestokilkoletni, dziewczyna smukła, pięknej kibici, może ośmnastoletnia, trochę wykwintniej ubrana i oryginalnie ładna; zgrzybiała baba, podstarzały o kiju z kędzierzawym łbem, popychający wóz krępy a niski człowiek, i dwie czy trzy jeszcze kobiety, obwieszone kołdrami pasistemi, wlokącymi się po ziemi.

Wszystko to szło cicho, jakby czekając rozkazu wodza i pogładając niekiedy na niego; wóz zatrzymał się pod karczmą, starszy podniósł głowę i obejrzał się dokoła.

Właśnie na próg gospody wyszło kilku gospodarzy i przodkujący im wójt w wysokiej czapie baranięj; patrzyli oni i milczeli, czekając z czém téż się odezwą podróżni. Cygan tylko okiem ich porachował, i instynktowo, czy po nowéj czapce może, domyślił się pana wójta, podszedł krok ku niemu skłonił się nieco:

– Bóg z wami, panie gospodarzu – odezwał się łamanym językiem z ruska, głosem silnym i pełnym szczególnego jakiegoś dźwięku, jakby po za tą mową pożyczaną, inna obca, druga się ukrywała. – Pewnie wy tu jesteście starszym?

– A jakby tak, to cóż? – spytał dosyć się szanując i z wysoka Maxym Lach.

– A jakby tak, – odparł cygan, powoli pot ocierając z czoła resztą podartego rękawa – tobym was prosił, żebyście mi pozwolili prznocować we wsi.

– Ba! ba! a jutroby jakiego konia niestało! – rzekł śmiało wójt, biorąc się w boki.

– Nie macie się co o to obawiać – z westchnieniem i półuśmiechem odpowiedział cygan. – Wy koni nie macie podobno, a my nie z tych cyganów, co na cudze patrzą; swojemi rękoma na chleb pracujemy. **Ciurachanów** (złodziei) między nami nie ma.

– Ale zkądże u diaska wiedzieć już możecie, że ja nie mam koni? – z zadziwieniem zakrzyknął Maxym Lach, który aż podskoczył.

– Cygan wszystko wie, dobrodzieju! obojętnie mruknął dowódzca bandy.

– Toć i licho – czerwieniąc się, a na swoich oglądając, ciągnął dalej niespokojny pan wójt; – gdyby wam to nie było potrzebne na złe, żeby wiedzieć wszystko, tobyście się nie starali o te wiadomości. Patrzajcie go, jeno do wsi wjechał, już wie, że u mnie koni nie ma. To znachor!

– Jakito znachor? – rzekł powoli ruszając ramionami cygan. – Ot zaraz wam opowiem zkąd co wzięłem, a dziwić się przestaniecie, żem tak mądry. Od tygodnia już siedzieliśmy w Piątkówce, o półtoręj mili ztąd; chwała Bogu ludzie się

tam na Aprasza nie poskarżą: dużo się roboty przez nasze ręce przewaliło. Jakaśmy wychodzili, powiedzieli mi drogę do Stawiska i zalecili do was, panie wójcie; a stary Murynec dodał: tylko jemu koni nie podkujecie, bo ich nie ma. Otóż cały sekret!

Gdy się ta rozmowa toczy, cyganów reszta znużona drogą, jak stała, rozłożyła się na ziemi. Starsi pospuszczali głowy, młodszy je podnieśli, przypatrując się wiosce, a dziewczę cygańskie stanęło obok dowódcy w postawie wdzięcznej i zdawało się chcieć czarnymi oczyma zmiękczyć ostro dosyć i nieufnie pogląających wieśniaków.

– No, no! jak ono tam jest, to jest, – zawołał Maxym Lach – a wy sobie ruszajcie z Bogiem dalej.

– Ale no, tylko przenocować pozwolenia prosim.

– Jeszcze słońko nie zaszło, dobijecie się do innej wsi; u nas tu cyganów nie bywało i bez nich się obejdzie.

Starszy westchnął, zamilkł chwilę, sparł się na biczysku, podumał, a powolnie głowę podniósł. Podstąpiła dziewczyna.

– A cóżto wam złego mogą zrobić cyganie? – odezwała się śmiało, wyraźnie i czysto po rusińsku. – Was tu tyle, a nas maleńka kupka: wstydalibyście się obawiać nie wiedzieć czego. W Piątkówce cały tydzień siedzieliśmy i chwała Bogu nie uciekliśmy z niej, ale nas ludzie pożegnali dobrą słowem i prosili z powrotem.

– Cicho Azaoro, cicho! – tupiąc nogą przerwał cygan – co się tobie w to wdawać? Za wóz mała! a do bab! Nie wypędzajcie nas, panie wójcie, a rozmyślcie się; teraz pora robocza, kował o dwie

mile, ciężko wam niejednemu dzień utracić dla naprawy lemiesza lub naralnika: pozwólcie nam przyzostać, a i my kawałek chleba mieć będziemy, i wy z nas wygodę! Za co u was drugi weźmie złoty albo dwa, ubogi cygan zrobi za dziesiątkę lub półzłotka, i dzień jeszcze zyszczecie, a to także grosz znaczy. Powietrza wam, ani ziemi, ani wody nie weźmiemy z sobą, a miejsca dużo nie potrzebujemy także. Ot – dodał wskazując – kawałek wygonu, aby namiot rozbić i kociołek powiesić, to dla nas dosyć...

Gdy cygan słów tych domawiał, gospodarze poczynali kiwając głowami spoglądać po sobie; znać było po nich, że się łakomili na kowala. Sam pan wójt poskrobał się w głowę, kilka razy czapki poprawił i obejrzał się w milczeniu na swoich, jakby rady szukał.

Aprasz uczuł, że przy nim wygrana i nieznaczone półuśmiechu prześliznęło mu się po ustach spalonych. Spiesznie począł mówić dalej, bijąc żelazo póki było gorące... i mówił tak skutecznie, tak zręcznie i trafnie, że wkrótce pomimo wstrętu, jaki wójt miał do cyganów, zaprowadzono ich na odłóg nad stawem, i tam namiocik rozbić dozwolono.

Cyganom tego tylko było potrzeba: kawałka ziemi do wbicia czterech kołków przenośnego ich domku, miejsca na ognisko i nadziei jakiegokolwiek zarobku. Piérwszego dnia nawet nie rozsypali się po wsi jak to zwykle bywa, kobiety nie włóczyły się po wsiach, Aprasz nic nie pożyczął; ustawiono kuźnię, przyprawiono miech, wbito kowadło i już nad wieczór podkuto konia jednemu chłopowi z wielką jego radością, za bardzo tanią

cenę, w której wyplątę wchodził chleb zcierstwiały, obrok dla konia i chuda kura oddawna niepotrzebnie gdacząca.

Nazajutrz już robota płynęła do kuźni cygana; a gdyby się był chciał trzeciego dnia oddalić i namiot swój zwinąć, myślę, że by go byli chłopi siłą, mocą wstrzymali: tak wiele jeszcze pozostawało do zrobienia, taki ścisk był na wygonie. Prawda, że też **Rom** (cygan) niesłychanie był zręczny: konie przedziwnie kuł, kurował i sprawiał, chętnie się wdawał w rozhovor, nie szczędził rady, a tak wiedział co do kogo przemówić! Na wsi też, jak wszędzie na świecie, temu najlepiej, kto się w porę z sobą popisać umie, i pracą swoją pochwalić i zalety jój pokazać, a Aprasz celował w umiejętném pochwaleniu się najmniejszą drobnostką.

– Patrzajno – mówił do milczącego i już zawczasu admirującego chłopka – przypatrzo się; co to za podkowa? Widziałeś ty kiedy w życiu taką? Ot, jaki u twój szkapy róg kruchy i zadzierliwy, a jak ona się tu gładko przylepiła, jakby przyrosła. Popatrzajno! gdyby rękawiczka! I nie zakuty koń nie zakuleje, nie bój się, bo ja nie zagwożdżę! nie! A w drodze na najsroźszej grudzie nie obleci drugiego dnia, jak po waszych kowalach! Podziękujecie i będziecie Aprasza wspominali!

Słowem, wszyscy kowale okoliczni, którzy zwykli byli robić do Stawiska, stracili naraz zajęcie: cygan wszystkich ku sobie pociągnął. W tydzień wierzono, że nikt na świecie nie włada tak obcęgami i młotem, jak ten cudowny Aprasz; stękano zawczasu myśląc, co to będzie, gdy go nie stanie.

Trzeba też przyznać, że postępowanie całej bandy wiele się przyczyniło do tak obojętnego przyjęcia cyganów; nie widziano dotąd nic podobnego: szpilka nie zginęła na wsi, kobiety siedziały przy wozach dni całe, ani ich było słychać. Baby same już po leki i po wróżby przywlekały się do nich, ale niełatwo było wymódl oboje; cyganki były smutne, dzikie, ostrożne...

Po tygodniu cygan spiesząc dalej, chciał zwijać namiot i wóz pakować; ale gdzie zaś! tyle jeszcze złamanych było lemieszów i koni bosych, tyle dla niego zajęcia! Sam wójt go przytrzymał.

Siedzieli Cyganie i siedzieli w Stawisku; a wkrótce tak się dobrze osiedlili, że Aprasz jamę wykopać kazał, darnią ją pokrył i pod namiotem znalazła się niespodzianie ziemianka. Nikt przeciwko temu nie miał ani słowa, i owszem, cieszone się z kowala własnego, pozbywszy pożyczanych; a z innych wsi nawet szli do Stawisk z naralnikami i siekierami.

Rodzina tych przybyszów składała się, jakśmy wspomnieli, z samego wodza bandy, z owój kobiety z dziećciem, która się zwała jego żoną, trojga wyrostków, dwudziestoletniego chłopaka, kilkunastoletniej dziewczyny oryginalnie pięknego stworzenia, które miało instynktowe uczucie swego wdzięku, starój baby, posługacza co przypominał Kulibana poczwarnością, i trzech kobiet nieznanym jakimś węzłem łączących się z rodziną.

Lecz byli to rodzina? Kto tu ojcem, matką, siostrą, bratem, żoną, mężem? – nie można była z pewnością powiedzieć; zwali się wszyscy dziwnymi imionami, tylko władza jednego despotycznie rządziła niemi. Dwoje starych nie mieli tu powagi swojemu wiekowi właściwej; traktowano ich jak posługaczy, jak dzieci, oni słuchali pokornie. Zresztą nie było pospolity motłoch cygański, ale coś niby szlachetniejszego grało na ich osmalonych czołach, w oczach czarnych, na mlęcznych białkach osadzonych, biła z ich wejrzeń tęsknota wygnańców, znużenie osieroconych, piętno wyroku dzieci Kaimowych.

Całymi dniami owa niewiasta, żona Aprasza, siedziała z dzieckiem, którego nie spuszczała z kolan, pod rogami namiotu, milcząca jak posąg, nieruchoma, z oczyma wlepionymi ślepo w drugi róg namiotu; i nie rzekła słowa, nie ruszyła się do jadła, nie zajęła niczem. Czasem mąż zagadał do niej, ale mu nie odpowiedziała; przybiegły do niej nagie dzieciaki, nie spojrzała na nie; tylko gdy niemowlę zapłakało przycisnęła je silniej do suchej piersi i dwie prostopadłe marszczki przecinały chmurne jej czoło. Stara baba posługiwała jej w podobnym milczeniu, a krępy Kaliban (zwany po cygańsku Cynonem niskim) uwijał się przy kuźni. Trzy kobiety warzyły jedzenie, pilnowały dzieci; młody chłopak z Apraszem stał za kowadłem i pomagał majstrowi, w milczeniu więcej robiąc od niego.

Ostatni, pomimo że w rysach jego twarzy, w oczach i ustach przebijała się krew cygańska, wiele się różnił od swojej braci Romów, jak gdyby obcego plemienia pierwiastek; myśli i

żądze grały mu w piersi. Włos jego nie miał kruczój czarności i kędzierzawości Aprasza, i spadał w prostych strugach na szerokie ramiona; twarz także była bielsza, oko inaczej wycięte i osadzone, wargi mniejsze i szczuplejsze. Ogół twarzy podłużny, miał coś w sobie typu Rusinów, ale zmieszanego z krwią tułaczy.

Chłopak ten choć posłuszny rozkazom wodza, choć pracujący z nim razem, nie był mu jednak tak uległy jak inni; często na słowo ostre odpowiadał niemniej żywo, mierzył się wejrzeniem z Apraszem. Starszy w drżącej dłoni młot nieraz podnosił do góry, jakby go chciał uderzyć i zęby ścinał i brwi nań marszczył, jak iskry sypały się im słowa;... ale po chwili zwada uchodziła, i znowu głucho i przerywane tylko biciem młotów następowało milczenie.

Po dniu pracy, młody cygan nie spoczywał ze swemi towarzyszami pod namiotem, rzadko sięgał do kociołka ich strawy; z suchym chleba kawałkiem biegł na wzgórze, siadał zadumany, i tam go oblanego rosą wieczorną noc chwytiała, sen zaskoczył.

Uparte żony milczenie, częste z czeladnikiem spory, nie uszły oka chłopków, którzy na tę tajemnicę rodzinną dziwnie spoglądali zaciekawieni i niespokojni. Nawet dla nich, co nie nawykli nic badać i śledzić, czuć było jakiś dramat pełen krwawych tajemnic w węzle, co łączył tych dziwnych włóczęgów. Ta matka, co się zdawała żyć tylko dla dziecka; ten pomocnik, który dawał pracę swoją, a nie chciał oddać naczelnikowi duszy i siebie; ci starzy wreszcie, jak

bydłęta spełniający najcięższe posługi, i ta dziewczyna piękna, wdzięczna, zalotna, zdająca się wszystkim, a nawet wodzowi panować: – budzili ciekawość i roje domostw.

Z gromady całej, najdobitniej cyganami byli Aprasz i Aza. Ta mogła mieć lat ośmnaście, i prócz wdzięku świeżej młodości, miała tę piękność nie naszą, dziką, osobliwą, bronzową, ognistą, której próbki widzimy w indyjskich posążkach, w indyjskich malowaniach, zdobiących stare ich poemata. Oczy jój czarne siały ogień, i zdawały się więzić wzrokiem niepokonanym, przed którym każda najśmielsza zniżała się powieka; nos kształtnie zgięty, usta nieco wydatne, policzki jednostajnej barwy ciemnozłocistej, okalały sploty włosów hebanowych, tak obfite, tak ogromne, że niemi i głowa opasaną była i szyja otoczona, a reszty jeszcze splecione, przez ramiona na barki spadały...

Na jój czole, w oczach, ustach, i całej postawie, szatan czy anioł w kolebce napisał: ty będziesz panować! I szła za swém przeznaczeniem śmiało, pewna jutra; a było coś zadziwiającego w tej nędzy i łachmanach, okrytych purpurowym płaszczem uczucia swój potęgi.

Kibić jój, bo i kibić ma potęgę swoją, wdziękiem przechodziła twarz jeszcze; czuleś pod obcisłymi łachmany, które ją okrywały, że to ciało wykute było ze spiżu, na wzór jakiś pierwotnych wieków, co się o ideał postaci ludzkiej otarły. Boska jój nóżka, czarna jój ale mała ręka, godne były deptać złociste wezłowia i obwijać się drogiemi tkaninami Wschodu. Na tej

piersi lada płócienna zasłona zmieniała się w szatę bogatą, i posłuszna fałdowała się jak najcieńszy rąbek.

A jednak piękność ta nie była powszednią: nie każdyby ją był spostrzegł, rzadki się nią zachwycił; potrzeba było uczucia nieśmiertelnych typów piękna, żeby w niej ukryte cudo odgadnąć.

Śmiejcie się jeśli chcecie: gmin ją miał za dosyć brzydką młodą cyganekę, a poeta biegłby za nią jak za cudnym zjawiskiem.

O! umiała się, umiała stroić zalotnica! Białego płótna kawał, pstry rańtuch, pas czerwony, sznur koralu, garść pstrych kwiatów polnych, świecące szkiełka: – wszystko jój było strojem i wszystko do twarzy. Stawała nad wodą, myślała trochę i obwieszala się coraz inaczej od stóp do głów w ubogie swoje świecidła; często godzinę tak wdzięczyła się sobie sama, lecz gdy wróciła potem pod szary zakopcony namiot, jaśniała w nim sama jedna odnowioną urodą, tak, że Aprasz nieraz podniósł głowę od roboty, ażeby się jój przypatrzeć, a spojrzawszy smętnie się uśmiechał czegoś.

Jeden chłopak, dziki ów cygan, coto z wodzem nieraz się śmiał spierać, ani patrzył na piękną towarzyszkę swoją; zdawało się to w nim raczej silnym postanowieniem, niżeli dobrą wolą.

Oparta o namiot, w cieniu, błyszcząc tylko czarnymi ognistemi oczyma, Aza śpiewała, lub słowy jak strzałami

zatrutymi drażniła i jątrzyła milczącego. Ale te słowa były jak liście, co padną na wodę: woda się zmarszczy, liść płynie, i znowu niebo się w niej przegląda. Tumry, tak zwano chłopaka, nie słuchał, nie patrzył, nie odpowiadał; czasem się nachmurzył, niekiedy do siebie uśmiechnął i kuł żelazo jak nieżywy młot, jak posłuszne narzędzie, spoglądając, rychło zajdzie słońce i ogień pod hornem zagaśnie, żeby uciec na góry samemu i z sobą odpocząć.

Aprasz i dziewczyna, czasem dzień cały dogryzali mu ostrzonymi widocznie wymówkami, szyderstwem, śmiechem lub łajaniem; on cierpiał, oburzył się czasem na starego, bryznął słowem na dziewczynę, lub częściej zmilczał, dobił końca dnia i uciekał. Innego dnia znowu i stary i Aza chcieli go ku sobie pociągnąć piosnką, miodowém słówkiem, długą nauką, lub słodkimi obietnicami: Tumry milczał uporczywie i udawał głuchego.

Wszystko to i wiele innych scen dramatu widzieli nieraz wieśniacy, czekając na swe lemieszce i radła, i pojąć nie umieli, co się tam działo pod tym namiotem wędrownego Tubal – Kaina. Rozmowy przybyszów gorące, żywe, szybkie, odbywały się wszystkie w tym języku niezbadanym, którego nikt dotąd dobrze nie zrozumiał, nikt się nie wyuczył: bo język ten zmienia się umyślnie, jak wąż barwiąc coraz inaczej, i jak wąż sunąc pod trawy i liście od ludzi. Któż tam wie, ile krajów, wieków, ludzi i pamiątek stworzyło tę mowę splecioną ze dźwięków najdziwaczniejszych. Może w niej brzmia jeszcze

wyrazy robotników, co wołali z wierzchołka wieży Babel, może dźwięczy zaklęcie kapłanów Brahmy lub Ozyrysa; może!... ale któż to odgadnie!

Był jednak we wsi Stawisku ktoś jeden, co język Romów umiał, cygan, który za przybyciem swój braci zamknął się w chacie, by ich nie widzieć; ale palony niepokonaną żądzą usłyszenia choć z daleka dźwięków mowy, którą jak sen dzieciństwa pamiętał, nocą się podkładał tajemnie pod szatrę i godziny całe leżąc na ziemi, pił głos rodzinnego języka, co mu się odzywał to w piosence Azy, to w narzekaniach kobiet, to w rozkazach Aprasza.

Stary Lepiuk w istocie był pochodzenia cygańskiego, ale w nim tylko jego pamięć pozostała, bo się długim życiem przetworzył zupełnie i rzadko kto w twarzy nawet mógł wyczytać ród jego. Ludzie mówili, że dawnymi czasy znaleziono którejś ciężkiej zimy, na drodze między Stawiskiem a Rudnią pod kupą nawianego śniegu, dwoje zmarłych ludzi: było nagi cygan i cyganka. Oboje napadnięci w drodze mrozem i zawieją, czując widać zgon swój, ratowali już tylko dziecię, które mieli z sobą; sen śmiertelny ich zmorzył nad drogą skulonych przy kilkoletnim dziecięciu, które ocalało zasłonię skostniałymi trupami rodziców. Jakiś litościwy gospodarz okrywszy kożuchem dziecinę, zawiózł ją do wsi, odchuchał, a zmarłych cyganów pochowano na rozdrożu bez krzyża, i mogiła ich dotąd zasypywana kamieniem i gałęzmi, zowie się: cygan – cyganicha. Lepiuk właśnie był owym znajdującym; wychował się

w Stawisku, wyrosł na parobka, przejął obyczaj wiejski, mowę, postawę i twarz nawet; zdawało się, że zabył swoich na wieki. Gospodarz, co go uratował, dał mu krewniaczkę za żonę; objął z nią chatę, odziedziczył nazwisko, dochował się dzieci, i wzył się w wioskę jak w swoje.

A jednak, o wspomnień siło! krwi potęgo! cuda nieodgadnione! węzły niestargane! ile razy staremu już Lepiukowi przyszło przechodzić koło mogiły na rozstaju, stał tam długo i myślał i wzdychał; a kiedy do wsi przybłąkali się cyganie, Lepiuk głowę stracił. Uczuł, że mu się w niej mąciło, że stare, zastygłe serce przejechało wzdłuż i wszérz całą pierś, jakby z niej chciało wyskoczyć i rzucił się do drzwi, zaryglował je sam przed sobą; w nocy nie spał, we dnie chorował. Potém jął od braci cyganów uciekać, bojąc się ich spotkać, lękając się, by na jego czole nie wyczytali odstępstwa; a nocami wykradał się jak złodziej pod szatrę Aprasza, i stary płakał nad pieśnią, której z początku nie rozumiał.

Język ten jego dzieciństwa był w nim jakby uśpiony a nie zapomniany; spał on gdzieś w sercu, czy w głowie, a gdy go iskra uczucia dotknęła, przebudził się i powstał. Zrazu Lepiuk nic nie rozumiał prawie; było tylko szum jakiś, szemranie jakieś, jak gdy gwarny tłum jedzie śpiewając pieśń: chwytasz ją już, a jeszcze zrozumieć nie możesz. Potém po jednym, któż wie jaki wyraz spał głębiej, leżał ciężej przykryty, z kolei wstawać poczęły słowa, ożywiać się, poruszać, ukazały się jaśniejsze, jedno drugie wiodło za rękę, aż wszystkie do jednego podniosły

się, i zaśpiewały starcowi uroczą pieśń młodości.

A stary płakał rzewnymi łzami i wstydził się swych oczu i krył z nimi, a boleść i wstyd kamieniem go gniotły; kochał przeszłość, a bał się do niej powrócić.

On jeden słyszał wśród nocy dziwne rozmowy włóczęgów; widywał wybiegającego z szatry Tumry, wyglądającą za nim Azę, klnącego Aprasza i czarne oczy jego żony, nieruchomie wlepione w dziecko, którym żyła.

Nieraz, gdy starzy i posługacze usnęli pod wozem na darni, pod namiotem płonął jeszcze ognik i słychać w nim było długo szmer słów, jak iskry z rozżarzonego pryskające węgla.

– Słuchaj Azaoro, to daremnie – mówił raz Aprasz do dziewczyny, która wyciągnawszy rękę, groziła nią po za namiot ku siedzącemu zdala na urwisku gliniastém Tumry. – Trzeba zapomnieć o tym zdrajcy, to krew nie nasza: to krew **Gadziów** (niecyganów), to dziecko mojego brata, ale nie siostry mojej, matka jego była jasno-włosą **Gdzia** (chrześcianką). Daremnie, byle krwi ich kropla zmieszała się tylko z naszą, zwycięża i bierze górę.

Wielki duch, **Mroden-oro** (Bóg) skazał nas na wszelakie zniszczenie, ile razy połączym się z innym rodem; krew obca zatłumi krew **Romów**. Zostawmy go losowi, który go czeka, niech idzie na złamanie karku, gdy mi odsłuży co winien za

naukę.

– A! byleście go odepchnęli, to pójdzie! – odpowiedziała dziewczyna. – Ptaka ziarnem wabią, nie strzałą...

– Małożem go wabił i głaskał? ty i ja?

– Ja może, ale ty niebardzo; zawsze w nim nienawidziłeś obcego.

– Mamże kochać obcych? – szydersko uśmiechając się odparł Aprasz – dla nas za niemi ani na ziemi kąta, ani kropli wody, ani cienia, ani spoczynku. Powitaż nas kto słowem pocziwém, pożegna dobrém życzeniem, powie nam kto, bracie? Wyklęci, musimy przeklinać!

– A cóż temu winien Tumry, że się urodził z jasno-włosój matki?

– Winien, nie winien, każdy pokutuje za grzechy cudze; za nasze męczyć się będą wnuki, my za pradziadowskie jęczym...

– I klął nieznanym szatanem. – Słuchaj Aza – dodał – dosyć tych wabięń i przyciągań; on myśli, że się bez niego obejść nie potrafimy i w dumę się wzbija. Znajdziesz innego męża, niech go tam **Bynk** porwie (diabeł).

Cyganka uśmiechnęła się, i dwa rzędy białych zębów błysnęły z pod warg rumianych; ale w oku jój nie było uśmiechu... zadrżały jój usta odpowiedzią i zamknęły się milczeniem. W czasie téj rozmowy, cygan po kilkakroć rzucił okiem na kobietę z dzieckiem, zbliżył się do dziewczyny i szepnął znowu wezwawszy **Bynka**.

– Albo ta! albo ta! widzisz ją? i w niej gra krew cudzych

ludzi, krew **Gadziów**. Już lat trzy milczy i łyzy nawet nie puści, i wędruje z nami, a serce gdzieś zostawiła za sobą. Nie! nie! cyganom się nie bratać z białowłosemi; nasza doła wygnanie, nasz los wieczna włóczęga, a to ślimaki wiecznie do skorupy przykute. Oni się rodzą do jednego miejsca, a skoro je z oczów tracą, mrą powoli...

– Daj jój pokój – odpowiedziała Aza – wyplakała już łyzy, wyjęczała słowa; pewna jestem, że gdy dziecię od piersi jój odskoczy, ona martwa upadnie...

Aprasz tylko ramieniem ruszył obojętnie, wyjrzał za szatrę, popatrzył na gwiazdy i powalił się na ziemię jak bryła bez życia.

Aza pozostała w miejscu, patrząc gdzieś daleko.



We dworze w Stawisku mieszkał naówczas młody, świeżo na świat wypuszczony człowiek; imie mu było Adam, a nazwisko – do czegoż wam nazwisko? Puszek ledwie jasny porastać mu zaczynał na wardze i brodzie, dwudziestu wiosen nie pamiętał, budził się dopiero do życia, a już mu ono smakować przestało. Rodzą się tak ludzie w wiekach przekleństwa, bez sił i ochoty do życia, bez ognia w duszy, bez ciekawości w głowie, bez popędu, bez chęci żadnej, bez zwierzęcego nawet szału. Otwierają oczy gnuśne na świat dla nich bezbarwny, i sen obojętny je zamyka; nic ich nie bawi nic nie rozgrzewa, nic nie pędzi z kolebki piérzem wysłanej na drogę skalistą i krwawą nadziei, pracy i

zawodów... Śmierć i życie dla nich równe zupełnie, ludzie bracia obojętni, świat niepotrzebną, spłowiałą dekoracją.

Jednym z takich młodych starców był Adam; wypieszczono go dziecięciami na martwego człowieka, brakło mu więc teraz ochoty i materiału do życia. Nudził się śmiertelnie; a że nudy prowadzą gniew i złość: gniewał się i złościł na to, co go otaczało. Cóż winni byli świat i ludzie, że on był tak martwym?

Czasem, kiedy się wpatrzył jak inni wesoło i ochoczo krajali swoją kromkę razowego nawet żywota, zrywał się ze snu i próbował coś począć; ale wnet znużenie odtrącało mu ręce, szerokiém ziewaniem kończył piosnkę, głowa opadała na piersi i powieki się zamykały. Były nań także napady myślistwa, pragnienie jakieś krwi chorobliwe, jakaś żądza dziwnej miłości, silnych wzruszeń, bojów, kąpieli ognistój coby odrodziła, śmierci, męczarni, uczucia... ale te chętki chwilowe przelatywały jak widma, i nikły w snach gnuśnych spowite. Adam nigdy nie kochał jeszcze, choć cały seraj dziewcząt ścisnął go kolejno białemi rękoma i oblewał łzami przymusu, choć nie jedno może zabiło do niego młode serce... Bawił się tylko kobietą i nie mógł dotąd odgadnąć, gdzie dla niej bije serce... jak ją kochać można? Nasycony, przesycony, zużyty, odpychał raczej niżeli pragnął nowych prób miłości; przekonany, że był na dnie tego raj, który dla innych wydaje się bezdennym.

Życie mu się wlekło, wlekło, pęzło powoli, że często dzień jak wiek się wyciągnął, a minuta wydała rokiem; i były chwile, że patrzył na skazówkę zegarka, a nie mógł się doczekać, żeby

z miejsca ruszyła.

Jednego wieczoru po długim ziewaniu wstał Adam powoli; przyprawiono mu konia, gotowe były psy i przyjaciele. Odepchnął skinieniem konia, psy i towarzyszków, i poszedł sam pieszo nie wiedząc dokąd: – żeby się rozchodzić, uczuć, że jeszcze żyje! Los go pędził na wygon ku namiotowi cyganów. Słońce czerwono świeciło nad zachodem i ukośne promienie jego, w pasy złote i czarne jak wschodni kobierzec, stroiły ziemię już w mrokach zacisznych kątków pokrytą rosą srebrzystą... Świat w tych blaskach dziwnych cały się jakoś zdawał odmienny od powszedniego; coś w nim było fantastycznego, uroczystego, wspaniałego. Ten wyraz jego oblicza uderzył oko zdrętwiałe Adama, stanął i obejrzał się. Był to właśnie przed namiotem Aprasza.

Przed nim, z rozpuszczonymi włosami czarnymi, siedziała smagła cyganka, piękna ogniem i młodością: rzekłbyś, że dwa węgle kowalskie płonęły w dzikich jej oczach. Wzrok biednej wygnanki wkradł się pod powiekę młodego chłopca i Adam zadrżał. Aza spostrzegła to i uśmiechnęła się, aż dwa rzędy zębów jak śnieg białych wypłynęły z pod warg różowych; i, zalotnica! odrzuciła w tył głowę na ramiona, podniosła wzrok, wygięła kibić sprężystą, jak gdyby ze wszystkimi skarbami swych lat siedemnastu pochwalić się przed nim chciała.

Adam stał, patrzył i poił się; serce mu nawet biło, krew nawet żywiej płynęła: pierwszy raz może w życiu silniej zapragnął – pokochał prawie.

W te suche serca kiedy iskra padnie, to jak pożar na posusze: w okamgnieniu płomień bucha niewstrzymany, niepowściągniony, niszczący. Tak było z Adamem, bo nim się ruszył z miejsca powiedział sobie: ona musi być moją, i dodał cicho: choć bym ją krwią miał zapłacić.

Ledwie odszedł wolnym krokiem, cyganka pobiegła z uśmiechem radości do starego Aprasza.

– Słuchaj ojczy – rzekła – słuchaj **dados**, rzuć ten młot, odpocznij, będziesz mógł użyć wczasu: dziwne się rzeczy stroją! **Raklora** (dziewczyna) złowiła rybkę!!

– A co ci się tam znowu uroiło w młodej głowie? – odparł cygan.

– Co? wiesz? ja się znam na ludziach! Bóg, co nas posłał na wiekiustą włóczęgę po świecie, dał nam węch jak staremu **szukeli** (psu) szukającemu sobie lekarstwa. My także instynktem czujemy ludzi i czytamy w nich lepiej, niż oni w swoich książkach. Przed chwilą przechodził tędy około namiotu **raj** (pan) tutejszej wioski, młody dziedzic wsi, o którym wiesz co powiadają, że mu woda zamiast krwi w żyłach płynie. I prawda! O biedne chłopię, zdaje się nie mieć w sobie także i siły do jutra!.. A jednak moje oczy go rozgorączkowały. O! bo też dobrze, dobrze patrzyłam na niego, aż zadrżał, aż się zwinął jak wąż gdy go nogą nastąpisz. I powoli rumieniec tryskał mu na twarz ręce drgać poczęły; wstrząsł się, poleciał jak szalony.

Klasnęła w dłonie.

– Azaoro będzie miała bogate **bucaki** (suknie), złoto na

głowie, złoto w warkoczach, pasy czerwone, co zechce!

– O! tybyś się sprzedała, **rakloro**? – chmurno spytał stary cygan.

– Ja? na wieki, nie – na godzinę! Czemuż nie? Wszystko się sprzedaje na świecie, chodzi tylko o cenę. Czego nie kupisz za grosz, można mieć za milion! Serca mu nie sprzedam, ale oko, warkocz i rękę zimną... czemuż nie! czemu nie!

– Wszetecznicza! – zawołał stary przez zęby – wszetecznicza!

Bynka gasina! (diable dziecko).

Aza odskoczyła jak piorunem rażona, wzrok jój zapłonął.

– Słuchaj stary – zakrzyknęła groźnie – nie masz jeszcze prawa mnie bezcześcić i **Bynkowi** oddawać; ty nie wiesz co ja myślę. Sprzedam się, ale się nie zwalam, bo to tylko mieć będzie za pieniądz, co daje wszystkim: śmiech, spojrzenie i piosnkę... A ty myślisz, że ja dłużej wytrwam w tych waszych łachmanach i brudzie! Nie! nie! ja się i wami i sobą brzydzę, ja jestem stworzona **rani** (panią) do bogactw i dostatku; mnie trzeba sukni, łańcuchów, błyskotek, szkiełek i państwa... A potem – dodała tęsknie się zamyśliwszy – gdy ta burza młodości minie, gdy zagaśnie co we mnie świeci: ubierzcie mnie w łachmany znowu, pójdę jak pies za wozem posłuszna.

Kował głową tylko pokiwał, ale w rękę drżały mu obcęgi i młot.

– Psia natura – zamruczał – nie może sobie cygana zwabić, będzie panicza łaskotać. Nie wytrwa! Oj młodość! oj młodość!

– Tyś nigdy nie był młodym – odpowiedziała szybko Aza –

bo kobiety tylko młode być umieją, a mężczyźni od powitka są starzy. Waszą dolą praca, a naszą śpiew... Jak śpiewać o głodzie i nędzy?

– Głowa ci się zawraca!

– Zawróciła! – krzyknęła tańcząc po namiocie cyganka – szaleję, stroję się myślą, śpiewam, bawię. Jutro będę w **khera** (domu, pałacu), jutro będę **rani**! Bywaj zdrów stary kowalu!

Z ociężałym czołem Adam powrócił do domu. W ganku powitały go psy i przyjaciele; on usiadł nie głaszcząc ani ręką, ani słowem, jednych ani drugich. Chmura zawisła nad czołem, oczy nabrzmiały nagle gwałtowną żądzą, i o cudo! chciał, pragnął, kochał! Myślał powrócić nazad i podać rękę cygance i prowadzić ją do swego domu, by chwili żądzę nie stracić; ale się wstydził sam siebie i przyjaciół i ludzi.

Całą noc walczył jak potępieniec, a ta noc przecie wydała mu się krótką, choć powiek sen nie stulił. Blask słońca oblał go wstydem; począł się śmiać z siebie.

– O! o! panicz pokochał się w cygance, w czarnej, brudnej cygance, co siedziała zasmolona w namiocie kowala; panicz, co mógł mieć na skinienie białą dziewczę ze stolicy, w której bułki i dziewczęta się sprzedają. Zażądał razowego chleba nędzy! To być nie może, niepodobna! – wołał do siebie i śmiał się.

Odpędzał myśl, a myśl jak pijawka wpiła się mu gdzieś koło

serca, koło głowy, i targała nim bezlitośnie. I rozpadł się na dwóch ludzi, jak to zwykle bywa, gdy nami szarpie namiętność silniejsza od rozumu i wstydu. Jak owi skazani na potarganie dzikimi końmi zbrodniarze, myśmy naówczas rozerwani na dwoje, i jeden z nas szydzi, gdy drugi boleje. W cierpieniu każdej namiętności jest takie człowieka rozdwojenie.

Ku wieczorowi dnia tego, wielki gniew opanował pana i kazał zawołać ludzi, żeby ich spytać, kto dozwolił cyganom rozgościć się na pustym pod wsią wygonie. Nie śmiał już sam iść do namiotu, ale chciał, żeby namiot przyszedł do niego; i w gniewie, w okropnym gniewie kazał przyprowadzić cyganów do siebie.

Znowu już słońce zapadło, a Aza siedziała strojna od rana u namiotu, wywdzięczona, uśmiechnięta, a Aprasz z niej szydził niemiłosiernie; gdy przyszli ludzie po cyganów do dworu: wójt przestraszony i kilku wylękłych z gromady. Aza aż w ręce klasnęła.

Ludzie patrzyli na nią jak na szaloną, bo się obawiali pańskiego gniewu, który dla niej jednej był zrozumiały.

Gniew ten był pragnieniem, bo gniew bywa różny: jest nienawiścią, miłością, żądzą, i jak suknia pokrywa różne postacie.

Aprasz szedł do dworu zadumany, a Aza podśpiewując wesółą, wystrojona, prawie piękna. Ona tak doskonale umiała uczynić się wdzięczną, gdy chciała, a tak chciała być teraz piękną i do reszty oczarować panicza.

Ani psów, ani przyjaciół w ganku nie było, tylko sam pan.

Aza szła śmiało, prosto do niego z uśmiechem siły, ze wzrokiem zwycięstwa.

Adam aż uląkł się tych czarnych węgli jęj oczu, i zamiast gniewu, blady uśmiech proszący o litość prześliznął się po jego ustach.

– Kto wam tu pozwolił się zatrzymać? Zkądście tu przyszli?
– spytał po chwili.

– Mój stary nie umie dobrze mówić – szybko występując naprzód poczęła cyganka – pozwólcie mi się wytłumaczyć. Milcz Aprasz i dozwól mi się z nim rozprawić – dodała po cygańsku.

To mówiąc przystąpiła bliżej, przysunęła się pod ganek, przełamała główkę na karczku gdyby ptaszek, podparła ją dłonią i wlepiając węże oczy w młodzieńca, coś cicho, niezrozumiale, jakby zakłęcie mruczyć poczęła. Adam chwilę popatrzył, chciał się odwrócić, czując, że wzrok cyganki szarpie mu coś głębiej w piersi, niż dotąd kiedykolwiek czyje wejrzenie i słowo; ale już było zapóźno. Zręczna dziewczyna miała już go w sieci: spuścił głowę milczący, bezsilny, opętany...



Nazajutrz Aza była we dworze, a cyganie z kuźnią na wygonie; ale Azy ani poznać! Czarna cyganka wstała pod dachem pańskim królową bajeczną z nad brzegów Indu, marą z poematów Sanskrytu, i brakło jęj tylko może kwiatka Lotusa w rękę, by wyglądała na bóstwo Lakszmi, na krewniaczkę Wisznu i

Brahmy.

Adam u nóg jój leżał, a na ramionach młodziana spoczywały dwie nóżki upierścieniowane, różowe, depcząc poganina, niewolnika. Co było szat bogatych, szat starych po pradziadach i prababkach; co było świętości w domu po bohaterach umarłych, bezdzietnych: wszystko to teraz stroiło dziecko włóczęgów, obwieszane złotogłowami, perłami i muślinami. Najmniejsze puchy otaczały jój ciało, najwdzięczniejsze wonie kołysały się nad nią w powietrzu. Psy i wczorajsi przyjaciele stali w sieni; Adam dnie całe, tygodnie, leżał sam u nóg czarownicy.

A dzień sam upływał w osobliwszym zajęciu: – ona patrzała, on słuchał. Czasem szyderskim uśmiechem uderzyła go jak sztyletem, to znów połyskała wejrzeniem; rzekłbyś zapaśnik, co walczy z przyswojonem dzikiem zwierzem. Adam gorzał; ona się śmiała z niego i codzień pragnęła więcej, postępowała zuchwaliej, stając się dumniejszą i dzikszą. W miarę jak była pewniejszą siebie i swego panowania, gniołła go nielitościwiej.

Biedne skarłałe dziecko wielkich pradziadów! Co to był za widok: w tym dworze jeszcze świętą, pocziwą woniejącym stęchlizną, ten dzieciuch wielkich rodziców, w komnacie ubłogosławionej pracą i boleścią ojców, u nóg włóczęgi, którą ustroił w pamiątki poszarpane, w pokalane świętości!! I ściany nie zatrzęsły się nad niemi, i stropy nie załamały się, nie zapadły podłogi!! Tylko wszystka woń przeszłości uniosła się z przybytku tego, gdzieś daleko pod niebiosą.

Aza zwycięzka żyła tylko swoim tryumfem; jój więcej nic

niepotrzeba było nad widzenie się piękną, nad przeżycie chwili żywotem bogatych, którego nie kosztowała, nad upojenie się jakieś zwierzęce wszystkiém, co poi. Ten mężczyzna leżący u nóg jój, blady, schorzały, zmęczony, którego piekła gorączka żądry bezsilnej, nie wzbudzał w niej nawet litości. Było to dziecię boleści, co przywykło mężczyznę widzieć pracownikiem i mężem; przypatrywała się więc temu karłowi z ciekawą jakąś pogardą: czasem śmiała się z niego, lub spragnionemu rzucała tylko jak psu kość, uśmiech dwuznaczny.

W nim miłość wrzała z gniewem, ale zbyt mało miał siły, aby obojgiem wybuchnął: paliły go wewnątrz tylko.

Aza latała i bawiła się wszystkimi fraszkami, które próżnowanie, zbytek, przepych, fantazyja, nagromadziły w starym domu. Codzień potrzeba jój było nowego stroju, nowego cacka, nowego jakiegoś zajęcia; za wszystko płaciła tylko dziwnym swym uśmiechem i dziwniejszém wejrzeniem czarnych swych oczu. Adam nawet zimnego nie dostał pocałunku; – tak dziewczę wiedziało dobrze, że jój potęgą była żądza zużytego młodzieńca, co mogła w pierwszym uścisku zagasnąć. Dmuchała w tę iskrę oczyma i usty, pielęgnowała ją i żyła, żyła szybko, ogniście, piersią całą, jak się żyje snem rozkosznym, z którego człowiek co chwila lęka się obudzić. Chciała spróbować wszystkiego, dotknąć, spożyć, co tylko było pod ręką w tej szybkiej godzinie jej doli; a ile razy łachman zrzucony przypomniiała sobie: dreszcz ją przebiegał, i jak struś zamykała oczy, by przychodzącego niebezpieczeństwa nie widzieć.

Długo tak trwać nie mogło, a trwało jednak dosyć długo... dziewczyna paliła zwiędłego panicza na żar i popiół; on się zżymał, ale czując życie w sobie pierwszy raz od dawna, nie wyrywał się z niego. Aza myślała o jutrze, o brudnej szatrze cygańskiej, o starym łachmanie, który zrzuciła jak wąż przyodziewający się na wiosnę; o życiu niedostatku i gołego nieba; myślała, walczyła z sobą.

Tu ją trzymały błyskotki, tam pociągała cygańska swoboda... Cztery ściany malowane zamykały niewolnicę, a przez okno widać było zawsze jedną, smutną, ciemnozieloną gałąź świerka, co się uwiesił na dachu dworca: nie czuła wiatru, który tylko świstał, szumiał i huczał w kominach; nie piła powietrza żywego, które latało około domu; nie biegła ku nieznanemu, jak przywykła: i tęskno, tęskno jej było za wszystkim dawnym, nawet już trochę za nędzą.¹

O! któż ludzką pojmie naturę i ludzkie przeczyta serce? Często najsprzeczniesze chwycą je żądze i szarpia, a obie tak nam drogie, że żadnej z nich odpędzić nie mamy siły. Tak było z Azą: tu ją cieszyły i bawiły miękkie poduszki dostatku i strój bogactwa; tam ciągnęła tęsknota za bożym światem szerokim. Bo to było dziecię **Errumanselów** (cyganów), wygnańców

¹ U źródła brak strony 48. (zamiast niej jest duplikat strony 50.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

bezdomych, wyrosłe pod skrzydłami burzy, wykołysane wiatrami, zapalone od słońca, myte rosą poranną; i jemu wędrówka jak bocianom rozwijała skrzydła od gniazda pędząc do gniazda, zawsze w tęsknocie do czegoś nieznanego.

W tydzień Aza płakała; chciała ulecieć, bo czuła że więdła, że tęskniła, że marła; a żal jej było błyskotek, wdzięku, który jój dawały, i życia, którego skosztowała. Kochanek blade, zmęczony, zesłabły, mdlejący, był dla niej pogardliwą istotą, i brała ją litość nad nim, ale więcej obrzydzenie; po dotknięciu tej ręki wyschłej w próżnowaniu i rozpuście, ocierała dłoń swoją jak po ślinie ropuchy. Adam milczał, palił się, kochał – ale żył.

Jednego wieczoru pokazał się księżyc z za drzew² i Aza ze drzeniem pobiegła do okna; gdy jój nocna gwiazda zabłysła, roztworzyła szyby, wlepiła oczy, wychyliła pierś na wieczorne powietrze. Księżyc ten srebrzysty przypomniiał jój wszystkie od dzieciństwa wędrówki po świecie i zdawał wzywać do nowych.

– Co ci jest? – spytał Adam.

– Co? – z szyderskim odpowiedziała uśmiechem ledwie zwróciwszy się ku niemu – alboż to ty panie zrozumiesz? Żal mi nędzy, chłodu, głodu i włóczęgi mojej, bośmy widać przeznaczeni na wiekuiste błąkanie się po świecie... Prawda, że ci to niepojęte, żeby tęsknić można za czarnym chlebem, za czarną dolą i za wędrówką bez końca? Mówią ojcowie nasi, że w kraju, z któregośmy wygnani, cześć oddawano ptakowi,

² U źródła brak strony 49. (zamiast niej jest duplikat strony 51.); powyższy tekst pochodzi z nowszego wydania. [przypis edytorski]

który i do was zalata... Patrz, oto jego gniazdo na tém drzewie. **Cierik** ten (ptak) zowie się u was bocianem... Bocian w podaniu cygańskim jest przeklętym jak cyganie.

– Coś ja ciebie doprawdy nie rozumiem, dziewczyno! – rzekł ziewając Adam.

– Poczekaj, zrozumiesz może. Bocian, jak my, nie ma swojej ziemi. Dawno, dawno, lat temu tyle, ile ziarn w wydnie piasku, co gwiazd na niebie zimowém, wielkie było na ludzi nieszczęście. Ludzie naówczas jeszcze byli wielką jedną rodziną, ale ją już toczyły robaki... i Bogu nie upodobało się stworzenie jego, **Mroden-oro** chciał je zniszczyć całe. Między synami ludzkimi był tylko jeden z rodziną siwo-brody starzec, którego Bóg przeznaczył na odnowienie rodzaju; starzec ten zwał się **Noa-oro**... I kazał mu Bóg budować statek wielki, w którymby się mogły pomieścić wszystkie zwierzęta ziemi po parze i trochę ludzi wybranych... Kiedy się niebieskie otworzyły wrota, i wody potokiem łać się poczęły na ziemię: wchodziło co żyło do wielkiego statku, i co żyło żegnało swoją matkę ziemię wejrzeniem żalu i tęsknoty. Nie było oczów coby nie zapłakały rozstając się z kątkiem rodzinnym; jeden tylko bocian wszedł do statku z żabą w pysku, nie obejrzawszy się nawet na gniazdo swoje... **Mroden-oro**, co patrzył z wysoka, przeklął go za tę nieczułość, i skazał odtąd na wieczną tęsknicę. Gdy potem wody osiały, bocian rozpoczął wiekiustą wędrówkę od jednej do drugiej ziemi, bo Bóg tak uczynił, ażeby zawsze jednej żałował i po jednej płakał... Ten bocian, to cyganie paneńku – dodała

dziewczyna. – Tęsknim zawsze, idziemy wiecznie, i nigdzie nie ma dla nas ojczyzny i spoczynku.

To mówiąc wstrząsała się cyganka i rzuciła ku drzwiom, jakby chciała uciekać; ale Adam roztwartemi zatrzymał ją rękoma.

– Ty musisz zostać ze mną! – zawołał.

– A czemuż ty za mną pójść nie masz? – odpowiedziała dumnie cyganka. – Tyś mi ani miły, ani potrzebny; jam potrzebna tobie, ofiarą być nie chcę: bo gdybym nawet wlała w ciebie wszystką młodość moją, jutroby w tych lodach skrzepla i zagaśła!

– Ale ty nie pójdziesz! – wrzasnął Adam z rozpaczą prawie.

– Nie, nie, dziś jeszcze – zimno odpowiedziała Aza. – Gdy księżyc dojdzie pełni, **ciomut-oro** (księżyc) wskaże drogę... mówię ci, że wówczas pójde i pójde.



Tak było we dworze, a pod namiotem Aprasza, jak dnia pierwszego, rozlegał się młot, przekleństwa i swar. Niewiasta z dziecięciem u piersi siedziała nieruchoma, chłopcy nago latali po wygonie, Tumry o zachodzie uciekał z pod szatry. Jednemu Apraszowi tęskno było po czarnych oczach Azy, i wesołej czy tęsknej jój piosence, i szyderczych jój rozmowach.

A ze wsi biedny stary Lepiuk, w którym kipiała krew **Romów**, co noc chodził pod namiot braci, by słuchać choćby dźwięku głosów, które zeń wychodziły i pić język zapomniany od

dzieciństwa. A w jego chacie na przyzbie, zadumana, na łokciu podparta siedziała wieczorami długimi córka jego Motruna, i czegoś ciągle aż po za wieś poglądała. Motruna miała lat siedmnaście i niepodobna była do dziewcząt wiejskich, tak, że kiedy między niemi szła do cerkwi, to ją poznać wśród nich było można, jak lśniące ziarno hreczki w kupce złotej pszenicy. Zmieszała się na jój licu krew potępionego ludu ze krwią słowiańską, w jój sercu łagodność i miłość spokoju, z tęsknotą i wiekuiłą trwogą mieszkańców. Była piękną jak cyganka, a miłą jak rusinka; i gdy z jój oczu błyskał żar Południa, z ust śmiało się życie Północy, białe i jasne jak śnieg. Córka Lepiuka była jedną z najpiękniejszych we wsi, i jedną z najdumniejszych; jakby wcześniej na czole napisane niosła, że więcej przecierpi od wielu i mężniej, niż rówiennice. Nie lubiła śmiechu ani tańca, ani nic, co weseli dziewczęta; nosiła w sobie przyszły smutek jakby pączek nierozwiniony. Nigdy jój nikt w taniec nie wywołał, ani pieśni wesołej wyuczył; a najmilszą zabawą jój bywało usiąść na wysokim pagórku i patrzeć daleko, daleko, jakby ją ktoś z drugiej połowy świata wołał.

Matka jój umarła dawno, ojciec niewiele na nią dotąd patrzył, choć kochał; bracia, że byli jasnowłosa po matce i weseli i żywi, tęsknicy jój nie rozumieli. Dla niój męką było w chacie wysiedzieć długo; często płakała czując się przykutą do przyzby, a gdy przyszło iść po wodę, to leciała do najdalszój studni, byle nieznaną jakąś splądrować ścieżynkę.

Jednego wieczoru idąc z wiadrem, Motruna spotkała Tumry

bląkającego się po wzgórzach; i raz tylko na siebie spojrzeli – a nie wiem czemu odtąd o sobie nie mogli zapomnieć. Tumry był nadto hardy, żeby się chciał zbliżyć do dziewczyny, która go mogła ze wzgardą odepchnąć; Motrunie brakło męstwa, żeby go sama zaczepiła. Ale silniejsza od nich obojga wola losu i potęga rodzącego się przywiązania, sprowadzała ich ciągle, stawiając naprzeciw siebie. We dnie często droga wiodła Motrunę około cygańskiej szatry; wieczorem Tumry bląkając się mijali codziennie chatę Lepiuka. W jego sercu rodziły się razem dwa uczucia, które często są z sobą w koniecznym związku: przywiązanie do dziewczyny, i potrzeba, żądza przykucia losu swojego do miejsca, do kąta na któryby się zlać mogła część miłości przepelniającej wezbrane serce.

Tumry nigdy nie lubił włóczęgi, a teraz bardziej niż kiedy wzdychał za swoją chatą, za własnym ziemi kawałkiem, z którego by go bicz włóczęgi nie spędzał. Marzył on o domie, o żywocie przy ognisku, o spokojnej śmierci pod swoją strzechą.

Tymczasem rośla w nim zarazem i miłość ku Motrunie, a w sercach obojga choć milcząca, mowną już była; brakło tylko jednego słowa, jednego skinienia, żeby ten związek tajemniczo poczęty, na wierzch wypłynął. Spotkali się raz za wioską; ona szła z głową spuszczoną z pola, on wybiegł z szatry, rzuciwszy młot, na świeże powietrze i ciszę nocną. Nad wsią unosiły się wyziewy dymów szarych, jesienne opary, i woń żniwa; tęsknota na siwych chmurach wisiała nad niemi. Spojrzeli ku sobie, ale tak już znajomo, serdecznie, bratersko, jakby lata przeżyli z

sobą. Motruna niosła oberemek suchych gałęzi, pod którymi się ugiwała. Tumry pożałował jój znoju.

– Ej! – rzekł zbliżając się – gdybyście mi to do waszej chaty zanieść pozwolili, lżejby wam było...

– Ależ wy idziecie w przeciwną stronę?

– Ja nigdzie nie idę.

– A biegliście?

– At! na powietrze! żeby odetchnąć! Nałykałem się dosyć iskier i dymu.

– Toście się i wy zmęczyli?

– Ej! nie! – To mówiąc wziął Tumry gałęzie, zarzucił je lekko na ramiona i zrobiwszy w ten sposób znajomość z dziewczyną poszedł z nią razem ku wiosce. Wieś była niedaleko, ale czas! czas! to niepojęta zawsze zagadka: w krótkiej chwili można całą wypowiedzieć duszę. Co oni tam wypowiedzieli sobie!? – cały żywot i wszystkie nadzieje!

Gdy się zbliżyli do chaty Lepiuka, Tumry i Motruna byli już doskonale znajomi. On wiedział wszystko co był powinien; ona znała całą przeszłość cygana. W marzeniach i rozhovorze doszli tak do podwórka, i już Motruna przypomniawszy sobie, że ojca tu zastać mogą, chciała odebrać swój oberemek a Tumrego odprawić; gdy głos donośny przekleństwem ich obudził oboje. Lepiuk stał oparty o wrotka z fajką w rękę; patrzył i takim srogim wzrokiem mierzył córkę i jój towarzysza, że w Motrunie serce zastygło ze strachu.

– Ho! ho! – zawołał stary – co to ty sobie myślisz, włóczęc się

po nocku z cyganami! Patrzejcieno ją! A i tyś śmiały odartusie, żeś się już do gospodarskiej córki przypytał! Co to się znaczy?

Tumry cały się oblał krwią i zimnym potem, a Motruna już była znikła przez przełaz, uciekając przelekła i zmieszana, gdy się zabrał na odpowiedź:

– A cóżto tak wielki grzech, żem waszój córce pomógł?

– Obejdzie się bez tych posług – drwiąco zawołał stary, ale ze złością źle pokonaną. – Ruszajcie sobie swoją drogą, a nie róbcie tu znajomości, bo się czasem poznać możecie z kijem dębowym, który stary Lepiuk trzyma na córkę i na nieproszonych gości.

To rzekłszy odwrócił się stary, cały drżąc i wytrząsając popiół z fajki, mruczał pod nosem:

– Ha! tego mi tylko brakło, żeby się znowu krew cygańska do mojej przyplątała. Ej! **Bynka Ciawa!** (diabli syn) patrzajcie, już się powąchali! Ale ja to Motrunie wybiję z głowy! Taki krew krwią: – cygan jój pachnie! Nie można się wytrzeć z tego cygaństwa; tyle lat pracuję, żeby ludzie o niém zapomnieli, a tu mi ono znowu włazi w drogę. Trzeba wcześniej zaradzić; a to powiedzą, że cygan stary umyślnie ją swojakowi poswatał. O! o! niedoczekanie wasze.

I biło staremu serce. Wpadł do chaty, gdzie już córka około pieca się zwijała, zasapany od gniewów wewnętrznych.

– Słuchajno, Motruna! słuchaj! nie odwracaj się i nie udawaj mi, że w garnku głowę chowasz i uszy; ze mną żartów nie ma. Co tobie do cyganów, co cyganom do ciebie? Będzie źle, mówię że będzie źle; ja tego nie zniosę. Ty gospodarska córka, a cygani

ci pachną!

Chwilę milczała dziewczyna, aż nareszcie podniosła głowę.

– A cóżto tak złego – odezwała się pocichu – że się przyczepił; ja go nie prosiła o to.

– To go było odprawić.

Ruszyła ramionami.

– A jak mi i pomógł, to cóż się złego stało?

– Patrzajcie jaka mądra! ona mi tłumaczy! A wiesz ty, głupia głowo, od czego się złe zaczyna, i jak się najlepsze kończy? Nic, dziś się nic nie stało, ale jutro już byłby ci znajomszy i poufalszy, pozajutrobyś tęskniła, a kto wie, możebym cię potem kijem za nim z chaty wyprosił!

Dziewczyna milczała.

– Ej wara – dodał Lepiuk rzucając się na ławę – wara od takich znajomości. Z cyganem nam nie ma drużby; on jutro pójdzie w świat jak dziki zwierz: a jak plamę po sobie na nas zostawi, staremu ojcu na siwe włosy!? Nu! nu! Motruno pilnuj się! ja nie daruję! ty mnie znasz.

W kilka tygodni, właśnie gdy we dworze już królowała Aza, Motruna i młody cygan zbiegali się na wzgórzu za wioską; ale ostrożniej, oględniej, tak, że ich ludzkie nie dojrzało oko. Motruna pomimo bojaźni ojca, szła za dolą swoją. Tumry już był w sercu postanowił nie opuścić Stawiska i pozostać tu,

gdy cyganie odejdą dalej. W nędzy, niedostatku, upodleniu rzadkie są gwałtowne namiętności: im także potrzeba słońca, swobody, spoczynku; ale gdy trafem zrodzi je serce co o sobie nie wiedziało, buchają straszne, gwałtowne, niepohamowane. Nic ich już nie złamie, bo cóż zagrozić może temu, co wszystkiego spróbował i doznał? W naszych salonach często wątpi miłość nie oprze się wrażeniu, jakie robi suknia wytarta; nie oprze się myśli, że kochać się będzie trzeba w lichym domku, w pracy, bez liberyi i bronzów: tam nic nie przeraża, nawet cielesne męki głodu, chłosty i żebractwa. Nasze przywiązania są jak kwiaty oranżeryjne: nie wytrzymują ani ostrego wiatru, ani przymrozków; chłopska miłość – kwiat rzadki, kwiat co w sto lat zakwita, ale przetrwać umie burze, chłód i boleść i urągać się przeznaczeniu.

Takiem wyjątkowem przywiązaniem był związek tych dwojga istot: w Motrunie przemagało ono nawet bojaźń ojca; w Tumrym nawet myśl, że dwie nędze sto razy są cięższe od jednej. Oboje nie zaklinając się i nie przysięgając, pewni już byli że zwyciężą i ojca, i ludzi, i nędzę.

Gotowość obojga na wszelkiego rodzaju ofiary była jakby potrzeby ich przecuciem; poczęły się one szybko następując po sobie i nie dając opamiętać się dwom biednym istotom, których miłość podwajała poświęcenie. Nic nie ma skuteczniejszego podniecającego to uczucie, nad tak zwane w języku starych romansów **przeciwności**; niejedna skłonność gwałtowna im winna rozwinięcie swe i siłę. Przeciwność drażni i pociąga

człowieka.

Dość długo Aprasz i jego gromadka stali obozem na wygonie pod Stawiskiem; kuli póki było co kuć, a resztę czasu spoczywali, i ośmieleni, kręcili się po wsiach i bliższych osadach. Aza tymczasem królowała we dworze, a Tumry latał za piękną Motruną.

Jednego wieczoru jesieni, pod otwartém oknem dworu zjawił się stary cygan z brwią namarszczoną i wejrzeniem surowém. Z okna tęskna, posmutniała, blada i zmęczona wyglądała piękna cyganka z zażawioném jakoś okiem. Patrzała ona w księżyc i dumiała; Adama nie było przy niéj.

– Słuchaj Aza, a długo to tego będzie? – zapytał stary z uśmiechem szyderskim, pełnym goryczy.

– Alboż ja wiem? – tęskno odpowiedziała dziewczyna – Mnie tu nic nie trzyma za serce, a odlecieć jakoś trudno. Ot tak jakoś, jak gdy czasem w podróży człowiek trafi na **kaszt** (drzewo) i wysiedzi pod niém na murawie miejsce wygodniejsze, to mu się z niego wstać nie chce. Nie wiem co się dzieje ze mną: chwilami tęsknię za naszą włóczęgą, **romów** włóczęgą; to znowu boję się nędzy naszéj i żal mi tego cichego dachu, pod którym tylu ludzi i porodziło się i pomarło! Kto wie: coś jest co sprzega miejsce i człowieka; jam już zatęsknić gotowa! Tęsknić za wami, gdybym tu została; za temi ścianami szaremi, gdybym od nich odeszła.

– Popsułaś mi się Aza, popsuła: mówisz to nie po cygańsku – rzekł grożąc Aprasz. – A nam czas dalej, bo zgnuśniejem i nie ma już tu co robić: wszystek **trast** (żelazo) wykuty... Kto wie, może ci już żal twojego panicza?

Stary rozśmiał się z gniewem stłumionym.

– A może i żal – odparła dziewczyna spokojnie dumając – choć doprawdy, wierz mi stary, chyba litość tylko i żal. Biędne to stworzenie, któremu świata nie ma jak ślepemu z urodzenia; on już swoje przeżył, nim mu broda porosła. A takie to znuźdźniałe, tak biędne, tak schorowane i nudne! Co on pocznie gdy mnie nie będzie?

– Co? znajdzie drugą! – rzekł stary ruszając ramionami.

– Takięj drugiey nie znajdzie – zawołała trzęsąc głową cyganka. – Jam go zrozumiała, jam go umiała trzymać na wodzy i podniecać, a kto inny nie potrafi.

– A! myślałabyś z nim zostać! – przerwał Aprasz z błyskiem oka, jakby zgadywał dziewczynę.

– Ja? zostać tutaj! tu! tu! Ojczy! ej, jakbo wy mnie nie znacie – żywo obruszyło się dziewcęcę. – Zostać z tym trupem zamkniętą między czterema ścianami, żeby mnie jutro wygnał, gdy dla niego nie będę ciekawością i potrzebą? Oj nie! nie, stary: zrzucę ja te świecidełka i pójdę w świat z wami. Życie mi to dojadło, dzień do dnia tak podobny, jak dwie paciorki, godziny wloką się jak konie kulawe, człowiek czuje, że drętwieje i usypia. A jednak co powiesz stary? – żal mi będzie i téj chaty; poniosę ztąd z sobą dumę w świat, dumę długą, długą aż do starości może...

– Oj dziewczę! dziwne z ciebie stworzenie – pokiwał głową Aprasz. – Jam nigdy nie wątpił przecie, że gdy namiot zwinę, a **kakabią** (kociołek) na wóz włożę, ty wylecisz ze dwora, i pobiegiesz bosy za nami: boś ty prawa **romów ciał** (cygańska córka). Gorzej podobno z Tumrym...

– No? a co się z nim stało?

– Tydzień jak mu ostatni rok czeladnictwa wyszedł i porzucił szatrę, nie kiwnąwszy mi nawet głową za **mandru** i **toń** (chleb i sól), za przytułek i naukę.

– Poleciał sam w świat?!

– O! nie, pokochał się tu podobno w dziewczynie ze wsi, i czeka tylko naszego odejścia, żeby tu stale osiąść. Jemu nigdy nie smakowała wędrownka; ma taki białą krew w sobie, korci go osiąść i drzémac. Ale nie tak mu łatwo pójdzie jak on sobie myśli; ojciec dziewczyny sam podobno **Errumansel**, za nic mu córki nie da: i zaklął się na siwy włos swój, że póki żyw, nie pozwoli na małżeństwo. Dziewczyny uprowadzić nie może, bo gdzieżby z nią sam poszedł? Zginie Tumry jak **szukela** (pies).

– A szkoda go, stary! Oj! szkoda nam!

Szkoda? co za szkoda? Chce przepadać, niech łbem idzie na dno: nam ciężiej będzie bez jego rąk, ale lżej bez jego złości i uporu. No! i ty Aza gotuj się w drogę; a żebyśmy biedy nie mieli, żeby nas nie gonili: porzuć tam co ci twój panicz podarował, ubierz się w swoje łachmany i dalej w świat!

– Tak! w świat! w świat! dalej a dalej! – powtórzyła cyganka, kryjąc twarz w ręce splecione. – Zawsze dalej i dalej bez końca,

do ostatka, do śmierci i po śmierci nawet...

– E! babo! **egaszi!** (kobieto) – krzyknął Aprasz – nie stękać: wstydzilibyś się. Tyle twojego, coś dzień jaki nędzny odkradła; dosyć stać i w puch wrastać – w drogę! w drogę!

– Jutro! – żywo odpowiedziała dziewczyna zamykając okno
– jutro!

– Pamiętaj! jutro!



Nazajutrz z rana jeszcze Aza była we dworze pana Adama, a już szatra cyganów znikła z wygonu: już **werden** (wóz) ładowano, dzieci dźwigały kociołki i młoty, podając je staremu, kobiety zwijały **plasty** (kołdry, pokrycia), a milcząca matka patrzyła na te przygotowania suchém okiem niemój, obojętnej rozpacz. Stare baby piszczały i krzyczały kręcąc się koło niój.

Z wierzchołka dalekiego wzgórza Tumry przypatrywał się tym przyborom z dziwném w sercu uczuciem; nie żał mu było starego Aprasza i cyganów, jedynój rodziny na szerokim świecie, a jednak w chwili rozstania, kiedy już miał pozostać całkiem sam z sobą tylko, czegoś biła krew do skroni, i rzucało się serce ściśnione. Przyszłość stawała przed nim czarna i pełna strasznych tajemnic, jak jesienna noc burzliwa, w której głębiach świszczą tylko wichry i miotają się szatani. Tumry przecie postanowił tu pozostać: bez kawałka chleba, bez chaty, bez przyjaciela, dla jedynój dziewczyny, której ojciec zdaleka mu nawet na nią

spojrzeć nie dozwalał.

– Co będzie jutro? – pytał się siebie, zasypiając pod gołym niebem u tarnowych krzaków w jarze – co będzie jutro? Umrę z głodu może, będę schwytyany jak złoczyńca? Kto wie? lub wywalczę cierpliwością gdzieś róg słomianego dachu i kątek spokojny?

Nadzieja obiecywała niewiele, bojaźń przestraszała marami, żal ścisnął za odchodzącymi; i Tumry nie ruszył się, gdy cygański **werden** zaskrzypiał, tylko oczy zakrył i pograżył się w senną jakąś dumie, co nie była ani jawą, ani marzeniem, a do obojga podobną.

Werden (wóz) był już u końca wioski, gdy przez ogrody i pola przyskoczyła ku niemu zdyszana Aza, w dawnym swym stroju cygańskim, zrumieniona pospiesznym biegiem, milcząca czegoś i gniewna.

– Jesteś? – rzekł Aprasz z uśmiechem. – Zważyłem o tobie.

– Jak widzisz stary; ale miejże litość, ruszajmy co żywiój, coś mnie nazad ciągnie, obejrzyć się nie mogę: tęskno mi, ciężko mi. Oj! w drogę! w drogę z piosenką cygańską, daleko a prędko!

– **Egaszi!** – mruknął przez zęby Aprasz, zacinając konia – no! samaż zanuć piosenkę wesołą, nakryj głowę, zakryj oczy, a jeśli i to ci nie pomoże, nachyl blaszanki, wypij **targimom** (wódki), to ci serce rozpowinie...

– A Tumry?

– Psi syn! krew **gadziów!** został tam gdzieś ze swojemi; niech go robacy strawią!

Tak półsłowami rozmawiając, spuścili się cyganie w jar głęboki, i wioska znikła im nagle z oczu. Aza szła żywo przodem nie oglądając się za siebie, milcząca i jakby lękając się pogoni, coraz jeszcze przyspieszała kroku, tak, że za nią reszta bandy ledwie wydażyć mogła.

Nagle droga zatętniała, zakurzyło się, zahuczało i mijając wóz Aprasza, konny jakiś przyskoczył do śpiewającej cyganki, która nie krzyknęła nawet gdy ją za ramię pochwycił.

– Co to jest? – odezwał się głos drżący i ochryPLY Adama – co to jest Aza, powiedz mi, co to jest?

– Co? – odwracając się obojętnie zawołała cyganka – a co ma być? idziemy dalej!

– Ty idziesz z niemi?

– Chciałeś może, żebym w téj klatce waszój została?

– Ale ty nie pójdiesz!

– Ja! a dlaczego?

– Bo ja cię nie puszcę.

Uśmiechnęła się dziko dziewczyna.

– Jakiém prawem?

– Tyś mi obiecała zostać!

– Nigdy! nigdy! A pocóżbym tam została? – dodała zatrzymując się – żebyś mnie za pół roku, czy za tydzień wypędził, albo rzucił jak ogryzioną kość któremu ze swoich lokajów, jak było z innemi?

Adam osłupiał.

– Ja ci dam – rzekł zdyszany – ja ci dam co zechcesz...

– O! o! – kręcąc głową poczęło dziewczę – a jeśli zechcę ślubnego pierścionka?

– Ty szydzisz?

– Widocznie; ale gdybym go żądała?

– Tego zażądać nie możesz, bo wiesz, że ci dać nie mogę.

– Ja też nie chcę, ni ciebie, ni twego pierścionka, ni domu, ani nic w świecie... Ty myślisz – dodała goręcej z okiem jak żar płonącym – ty myślisz, że jabym wyżyła tam w twojej **khera** (domu), w téj klatce, zamknięta jak niewolnica? O! to życie nie dla mnie: dla was pieszczochów, dzieciuchów, starców bez krwi i serca... Dosyć mi było spróbować. Bywaj zdrów panie! Aprasz! zacinaj **grami** (konia)!

Cygański **werden** zaskrzypiał, cyganka puściła się przodem, a pan Adam pozostał jak wkuty do ziemi, blady, gniewny, bezsilny, przewracając w głowie myśli suche, jak liście jesienne, żółte, zimne i nieżywe...

Nareszcie ziewnął szeroko, zawrócił konia, i stępo, coś mrucząc pod nosem, pociągnął się powoli ku staremu dworcowi swojemu.



Tumry pozostał sam jeden, zmuszony w początku ukrywać się przed Lepiugiem, który wyszpiegował, że chłopak od swoich odstał i około wsi się błąka. Szczęściem dla zbiega, kowal był taką dla wioski potrzebą, że o jego bytności i ochocie osiedlenia,

dowiedziawszy się kilku gospodarzy, wpadli na myśl, by go w Stawisku zatrzymać. Widzieli oni, że Tumry był prawą ręką Aprasza i bardzo zręcznym rzemieślnikiem; uśmiechało się im, że go u siebie przytrzymają: poszli więc do pana do dworu z prośbą i powiedli z sobą chłopaka.

Ale pan Adam klął właśnie wszystkich cyganów świata, i poprzysiągł zemstę całemu plemieniu **romów**. Poselstwo przyszło nie w porę, odprawił je więc kłatwą i gniewem, tak, że Tumry cały drżący wyszedł ze swemi opiekunami.

– Po wszystkiém! po wszystkiém! – zawołał na progu. – Nadzieja stracona: albo się powiesić, albo uciekać.

– Cytno, cyt! – rzekł stary wójt kładąc mu rękę na ramieniu – kiedy ludzi nie znacie, nie mówcie nic naprzód, nim się stanie. Pan łaje i klnie i pędza zawsze w początku, ale go tylko ponudzić trochę, niechaj się wysapi: zapomni gniewu. Niech mu wierzchowca okuć nie będzie komu, to się to wszystko polepi; tymczasem poparobkowałibyście u mnie i poczekali cierpliwie.

Tak się stało jak wójt radził i przewidział: pan Adam przeboleł wkrótce i gniew i tęsknotę, a dla Francuzki guwernantki, którą odmówił komuś w sąsiedztwie, 30-letniej już awanturnicy, zapomniał cyganów i cyganek; bo niepiękna i niemłoda już wdowa (która jednak nigdy zamężną nie była) poznawszy dobroć pana Adama, wiodła go na pasku aż do ołtarza. Wójt więc wkrótce potrafił z łatwością wyrobić pozwolenie zamieszkania cyganowi w Stawisku.

Lepiuk, który na to wszystko z boku patrzył i starał się o ile

mógł przeszkadzać, rady jednak przeciw panu i całej wiejskiej gromadzie dać sobie nie umiał. Dowiedziawszy się o tém, o mało z gniewu nie pękł. A tu mu i jego własne cygaństwo zawadzało, że głośno przeciw Tumry mówić nie mógł usta miał zamknięte, gdy najwięcej chciał się odezwać.

– A! – rzekł w duchu – pozwolili mu osiąść, niechże sobie siedzi; ale zjé kaduka, żeby za mego życia do Motruny się przybliżył. Nie chcę więcej cygańskiej krwi w moim rodzie.

Gdy przyszło na chatkę i kuźnię wyznaczyć miejsce we wsi, Lepiuk tak potajemnie i otwarcie zabiegał, że dwór, ekonom i gromada, niby ognia się bojąc, niby brzydząc cyganem, odepchnęli go aż za wieś pod cmentarzysko, i tam na pustce pozwolili się budować. W początku panowie gospodarze zobowiązali się jednak dopomódz wraz ze dworem do postawienia chaty; ale gdy przyszło do rzeczy, Tumry przekonał się, że nie będzie miał pomocników nad dwie ręce swoje. Słowa nie rzekł, otrzymał czego chciał: szmat ziemi, pozwolenie zamieszkania; więcej i domagać się nie śmiał, ażeby i tego nie stracić.

Smutne to było miejsce, gdzie mu się wskazano budować; wgnanie raczej, niż ludzka sadyba, naprzeciw mogilnika, ode wsi daleko, głosu ludzkiego nie słysząc; ni zkąd ognia, ni zkąd wody, ni cienia, ani kawałka ziemi; ale wygnańcowi, co nigdy nie miał nic swojego, i to jeszcze dobrém było. Tumry położył się spać na gołej ziemi i całą noc przedumał, jak tu tę chatę skleić. Na nikogo rachować nie mógł, nikogo poprosić: Lepiuk

mu wszędzie szkodził.

Nazajutrz oblany rosą, wstał biédak rano, rozglądając się w pustce swojej; dojrzał obrywu góry, do której mógł się jednym bokiem lepianki uczepić i uśmiechnął się z radości. Gлина do obmazania ścian była tuż blisko, ale z czego dach zrobić i ściany?

Po godzinie rozmysłów poszedł do wójta, który z pługiem i chłopcem ciągnął na swój sznur.

– A co, panie majster? – spytał żartobliwie stary.

– A cóż, panie wójcie – odparł Tumry – coś mi się widzi, że ani dwór, ani gromada nie ma ochoty chaty dla mnie stroić; od dnia do dnia zwlekają, i nic z tego nie będzie.

– Nie wiem, nie wiem – mruknął Lach powoli – ale niewiele i ja na tę zbieraną robotę rachuję. A cóż myślicie?

– Myślę się sam budować!

– Z kim? jak? najmem?

– Toż wiecie, że grosza przy duszy nie mam, ale rąk dwoje nie na żarty!

– Bylebyście sobie jeden klocek położyli sami, jak zobaczą ludzie, że się sami bierzecie, nikt wam i palcem nie kiwnie.

– Czy tak, czy tak, wszystko jedno.

– A jakże sobie sam rady dać potrafisz?

– Powoli sklecę lepiankę; nie będzie to **khera** ale **bukunia** – dodał cygan po swojemu (nie dom, ale buda na ustroniu).

– Któż drzewo ci zwiezie?

– Ja je zniosę.

– O ho! ho! – rzekł wójt, coś poczynacie pleść od rzeczy.

– Dostańcieno mi tylko kwitek do lasu na materyał i podarujcie choć starą **towez** (siekiere).

– Siekiery ci nie pożałuję... to mi później odrobicie za nią – rzekł wójt. – Mam właśnie tępicę, ale jeszcze niezbitą i wcale niczego: warta od siebie rzucając więcej złotówki; a kwit i jutro mieć możecie. Ale czyż taki doprawdy myślisz się sam brać do dzieła?

– A cóż? – rzekł cygan – nie mam czego czekać, poprobuję.

Nazajutrz rano, naprzeciw cmentarza kopał już drewnianą łopatą o suchym chleba kawałku Tumry, odrzucając twardą glinę, zbijając chwasty i oczyszczając kilkołokciowe miejsce na ziemiankę swoją. Człowiek zostawiony sam sobie, przygnębiony i zmuszony do pracy, wiele może: daleko więcej, niżeli wyobrażamy sobie! Prawda, że na każdym kroku szafuje siłą podwójną ciała i duszy; ale wyszafowana powraca mu we trójnasób. Cudem prawie licha kletka cygana, jedną siekiere i dwiema dokonana rękami; każdy kawał drzewa potrzeba mu było lub na plecach dźwigać z lasu, albo zaprzągłszy się doń samotuzkiem, ciągnąć powoli przez jary i góry; każde bierwiono samemu ociosać, domyślić się budownictwa, stworzyć całe rzemiosło nieznanne. A ile razy stępiło się stare toporzysko, musiał Tumry, nie mając kowalskich narzędzi, iść mil dwie do kowala, i służyć mu dwa dni za pomocnika, by tym kosztem znowu siekiere nastalić i poprawić. Tymczasem gdy go nie było, przejeżdżający drogą, przechodzący ze wsi kradli mu w pocie czoła nagromadzone drzewo, słota psuła robotę, góra namokła

odsuwała się, źle spojone kłocce rozchodziły i spadały, i nie wiem wiele razy runęła budowa, nim ją lichemi beleczkami i łatami pokryć potrafił, zamiast krokwi, liche pozatykawszy kluczyny. Bóg tylko jeden policzył, ile tam kropel potu upadło na ziemię, ile pracy poszło marnie, ile się spotrzebowało wytrwałości i siły.

Ale nieraz same niepodobieństwa jątrzyły człowieka, by je przemógł wzmagały w nim ochotę, budziły myśl, podnosiły męztwo. Śmieli się ludzie poglądając na tę powoli wychodzącą z ziemi, lichą i niepocieszoną lepiankę, która przy całej swój biedocie jeszcze była cudem przemysłu i pracy. Tumry tak się przywiązał do dzieła swojego, tak się z niem zjednoczył i spoił, że nie miał spoczynku, póki go nie dokończył. Dwa razy tylko w dzień odbiegał roboty, żeby wyskoczyć przeciwko Motrunie, spojrzeć ku niej, uśmiechnąć się do niej zdaleka, lub przemówić słowo.

Rzadko się to jednak powiodło, bo stary Lepiuk stał na straży i zbliżyć się im nie dawał; a nadaremnie usiłując wygnać wygnańczuka ze wsi, wciąż poprzysięgał, że gdyby Motruna dziewczką umrzeć miała, nie da jój za przybłędę i włóczęgę. Motruna nie drażniąc ojca milczała cierpliwie; ale gdy do niej przyszli w swaty, pomimo groźb i łajania, odprawiła z niczém. Lepiuk kłął, bił, rzucał się, ale to nic nie pomagało: dziewczyna wszystko zniosła odpowiadając jedném słowem – „nie chcę.”

Jednego poranku, gdy Tumry około najcięższej części swojej chaty był zajęty, starając się na niej postawić coś, coby belki i dach zastąpić mogło: ujrzał w brzasku i w mgłach wschodnich

zbliżającego się ukradkiem Lepiuka, który podparłszy się na grubym kijsku, zamyślony stanął przy drodze i żarzące gniewem oczy wlepił w pracującego chłopaka.

– Buduj, buduj – zamruczał nareszcie półgłosem po długim milczeniu – na głowę twoją, na głowę! Niedoczekanie twoje, żebyś ty tu mieszkał!

I ze złością dodał głośniej:

– Co ty sobie myślisz klecąc ten chlew, słyszysz?

– Co myślę? że w nim będę mieszkał – odparł spokojnie Tumry nie przerywając roboty.

– Czegoś ty się tu na swoją biędę przywłókł – dodał stary – po co? Mało ci było świata, słyszysz? he?

– A cóż ja wam zawadzam – rzekł cygan – powietrza nie wydycham, wody nie wypiję, chleba nie odjem; stanie ich dla nas wszystkich.

– Ale dlaczego przyszło ci do głowy przyczepić się do naszej wioski?

– Albo wam to co szkodzi?

– Ej! djabełby cię porwał! nie udawaj głupiego, podchwycił Lepiuk – bo ja nie myślę gadać długo. Ot w dwóch słowach: jeżeli sobie ztąd pójdiesz, gdzie cię oczy poniosą, zapłacę ci za robotę i kupię ten chlew; słyszysz, bylebyś się wynosił nie oglądając; a jak nie...

– To co, panie gospodarzu?

– To co! powiem ci tylko, że się tu cało nie osiedzisz!

– Czémże ja wam szkodzę?

– Ho! ho! ty lepiej wiesz za co mam ząb do ciebie, nie potrzeba mówić długo. O Motrunie myśleć tobie wara, z tego nic nie będzie, a ciebie diabli wezmą.

Tumry umilkł ciosając coś powoli około brzozowej krzywój belki.

– Słyszysz, diabli cię wezmą! – powtórzył Lepiuk, którego zimna krew cygana jątrzyła.

– Kto to może wiedzieć, kogo **Bynk** pochwyci! zimno odpowiedział chłopak – zobaczymy!

– Zobaczymy! I nie chcesz ztąd iść? Mów!

– Nie pójdę, to darmo, nie pójdę, panie gospodarzu...

Lepiuk stuknął kijem o ziemię, zgrzytnął zębami, odwrócił się i odszedł szybko.



W tydzień potem, gdy już się kletka do ukończenia zbliżała, Tumry ze stępioną siekierą puścił się wedle zwyczaju do sąsiedniego kowala i zabawił trzy dni. Powracając marzył i rozpamiętywał o spotkaniu swém ze starym Lepiukiem, o jego groźbach i swoich nadziejach; gdy na zawrocie drogi, gdzie się ukazywało Stawisko, ujrzał na spokojném niebie wieczora wstęgę sinego dymu, unoszącą się w powietrzu... Tknęło go coś, bo ogień zdawał się pochodzić z miejsca, gdzie stała rozpoczęta chata jego; przyspieszył kroku i wkrótce stanął wryty, postrzegłszy, że praca jego była już garścią dymiącego popiołu.

Na ziemi widać było żarzące się jeszcze opadłe główne, stos rumowisk i niedogaśłe pożaru ognisko.

Nie miał siły zbliżyć się Tumry, tak mu pogorzelisko to odjęło odwagę, taką boleść uczuł w piersi; i pierwszy raz od dzieciństwa dwie łzy puściły się mu z oczu czarnych, paląc twarz do nich nieprzywykłą. Stał i patrzył z załamanemi rękoma, przybity, nie wiedząc co począc, nie myśląc, jak obłąkany.

Ale ta rozpacz niema, straszna, która przejść mogła w szaf i zemstę, gdyby z niej łzy nie trysły, trwała tylko chwilę. Cygan podniósł głowę, westchnął, otrząsnął się i odzyskując przytomność i męstwo, żywym krokiem posunął ku zniszczonej lepiance.

Myśl jego zwróciła się znowu ku wytrwaniu i pracy. Com raz zrobił, potrafię i drugi, rzekł w duchu: może łatwiej, może lepij, a na swoim postawię. Niech się Lepiuk wścieka, bo to jego sprawa, ja się nie dam wykurzyć jak pszczoły z ula i komary z izby.

To mówiąc, zbliżył się pod same pogorzelisko, ciekawém szukając okiem, coby z niego jeszcze ocalić było można; ale ogień nie oszczędził ani patyczka, drzewo spłonęło wszystko i trocha węgla a popiołów dymiła tylko jeszcze. Obejrzał się cygan smutnie i rzucił na ziemię pod gliniastym obrywem, który od ognia wypalony na czerwono, rozpadał się i sypał; zwiesił głowę i zadumał.

Wtém drogą usłyszał idących ludzi i sunący się po ziemi przewrócony pług, za którym szedł wójt.

Stary zdala ujrzał przy pogorzeliśku cygana, przyzastanowił się, usta otworzył, ale nie śmiał zaczepić, czując co się tam w duszy jego dziać musi.

Tumry sam zerwał się raźnie i przystąpił do niego.

– Dobry wieczór, panie wójcie!

– Oj, niebardzo wam dobry – odrzekł gospodarz powoli z wyrazem litości – coście się to darmo napracowali! Wszystko jedna skra wzięła, i z dymem poszło!

– Skra temu niewinna, ale ręka czyjaś – odpowiedział cygan z westchnieniem. – A no, cóż robić, toć się dlatego nie obwieszę...

– A cóż myślicie?

– Co? – rzekł Tumry spokojnie – jutro do lasu, i znów się buduję.

– Czyś ty oszalał! a gdzież ci starczy siły?

– O! o! jeszcze jój jest dosyć – zawołał cygan. – Myślę tylko jak się zabezpieczyć, żeby mi znowu mój przyjaciel węgla nie napalił, nim kuźnię postawię – udając żart dorzucił chłopak.

Wójt ostrożny zamilkł, nie wywołując zwierzeń, ani się rozpytując na kogo padało podejrzenie, choć w tém wątpliwości nie miał, że Lepiuka cygan posądzać musiał.

– I doprawdy – zagadując ozwał się po chwili – myślicie się na nowo budować? doprawdy?

– A nie dalej jak jutro – głosem stanowczym rzekł Tumry. – Siekiera ostra, odpocząłem trochę przy kowadle, pójdę w las.

– Ha! szczęście Boże! – popędzając woły zamruczał wójt, z poruszeniem ramion znaczącem – tęgi z was chłopak, co za

szkoda że cygan!

Ostatnich słów nie posłyszał już Tumry, który powrócił na popielisko, drżącą je rozgarnął ręką i z zanadry wyjąwszy kilka kartofli, rzucił je w prysk na wieczerzę, którą one i kawał chleba suchego składać miały. Ale spaliły się kartofle, tak się cygan zadumał znowu, nie myśląc o jedzeniu; a gdy ranek świtał na niebie, wstał złamany i zbity, topór zarzuciwszy na ramię i skierował się ku lasowi.

Szczyściem dla niego, porąb z którego mu materyał na chatę wyznaczono, nie był bardzo daleko, choć go dwa jary i wzgórze od nadanego gruntu oddzielały.

Na ścieżce, którą szedł, widne były ślady tylko co zmarnowanej pracy, przypominające cyganowi krwawy znój jego wczorajszy i dzisiejszy; gdzieniegdzie zeschłe walały się gałęzie, po ziemi kłody ciągnięte powyrzynały pasy wyślizgane; tam i sam rzucona wić dębowa zerwana, kawał sznura, odciosany kołek, zatrzymywały idącego Tumry, który je zbierał powoli, myśląc zużytkować. Wczorajszy żal przepalił się już w jego sercu: zastąpiła go silna wola pracy, tłumiąca najskuteczniej boleści.

Tak dumając spuścił się w jar nie patrząc przed siebie, gdy go głos znany ocucił.

– Dobry dzień Tumry, dobry dzień!

O kroków parę przed nim stała z dwojaczkami w ręku piękna Motruna, której czerwone oczy o niedawnych łzach świadczyły.

– Dobry dzień – z uśmiechem rzekł zbliżając się cygan. – A

co słycać?

– Chyba nic nie wiecie? Byliście koło chaty?

– E! nocowałem tam przy ogniu – udając obojętną wesołość odezwał się chłopak. – A cóż? spaliła się, trzeba myśleć o drugiej.

– Znowu tak samo? a to wy się zarzniecie – z litością i wejrzeniem głębokim rzekła córka Lepiuka.

– Nic mi się nie stanie – zawołał cygan ochoczo – bądźcie spokojni; trzeba swojego dopiąć... nic nie pomoże.

– A wiecie z czego chata spłonęła? – badawczy wzrok rzucając na Tumry spytała dziewczyna.

– Wiedzieć nie wiem, ale domyśleć się łatwo: twój ojciec musiał ją spalić.

Motruna smutnie spuściła głowę.

– Wiész – rzekła pocichu i oglądając się – zawczoraj Hryhor Skorobohaty przysłał znowu swatów do mnie; ojciec wziął mnie do komory i zagroził, jeśli ich odeślę, ale nic nie pomogło; powiedziałam że nie chcę... Wieczorem jak szalony wyleciał gdzieś wzięwszy z sobą krzesiwo z kaletką. Tknęło mię zaraz, że to będzie nieszczęście, poszłam płakać na ogród; aż w godzinę widzę dym na górze przy cmentarzu, a tu i ludzie powybiegali, patrzą, wołają: pali się chata cygańska! Musiałam skryć się, bo na mnie patrzali wszyscy, a ja aż ryczałam z płaczu.

Nieprędko powrócił ojciec, trzęsący się czegoś, gniewny, położył się nie jedząc wieszery, nakrył kożuchem i dodziśdnia choruje!

Motruna ciężko westchnęła.

– Oj, na biedęto naszą – dodała po chwili – przystaliśmy do siebie, na biedę i niedolę... ale tak nam sądzono! Duszy nie odebrać kto ją raz dał komu... Już i to nie na los, kiedy ojciec nie błogosławi, a przeklina...

– Słuchaj – rzekł cygan biorąc ją za rękę cały wzruszony – jeśli tobie strach mojej doli i ojcowskiej klątwy, powiedz słowo Motruno; ja choć cygan mam sumienie: gubić ciebie nie chcę, pójdę ztąd!

Motrunka czarne oczy podniosła na niego, ocierając je z łez fartuchem.

– Duszy nie odebrać, kto ją raz dał – powtórzyła – nie czas nam się powracać! Wola Boża! sądzono!

– Niech ci Bóg płaci za pocziwe słowo – odparł silniej coraz przejmując się Tumry – nie pożałujecie tego, coście dla mnie zrobili. Pokażę wam, że cygańskie ręce żelazne i siła żelazna; nie dadzą mi tu rady ani bieda, ani ludzie... Widzisz Motruno, znowu szedłem z toporem do lasu; pocznę chatę nową, i da Bóg prędzę ją i lepiej dokończę, niż pierwszą; nie przepadniemy!

To mówiąc chciał ją uścisnąć, ale Motruna spojrzawszy nań tylko, jakby przełęczniona, rzuciła się ścieżynką na pola wiodącą.

– Bracia na łanie czekają na obiad; trzeba spieszyć. Twój bochenek chleba pod kamieniem, gdzie zawsze!

I kiwnęła mu głową oglądając się długo, nim znikła w krzakach kaliny.

Cygan stał chwilę w miejscu, a potem zapomniawszy chleba, puścił się w las na robotę. Doświadczenie dawało mu

teraz wprawę, której nie miał rozpoczynając pierwszą swą lepiankę; lepiej potrafił wybrać drzewo, ociosać, zręczniejsię do kłód grubszych zaprzęgał i ścieżki wypatrzył mniej strome, gdy je ciągnąć przyszło. Wszakże nie na wiele przydała mu się ta umiejętność: sił jego podwoić nie mogła, ani lepianki pokaźniejszą uczynić. Znowu ją rozpoczął klecić z takich samych kawałków, równie niezgrabnie, prędszej tylko trochę; a podzielił tak pracę, że wprzód wszystko wyrąbał w lesie, co mu potrzebném być mogło i w bezpieczném miejscu ukrył, potém dopiero rozpoczynając ściągac materyał na grunt przeznaczony.

W kilka tygodni stos drzewa leżał już naprzeciw cmentarza, a cygan opaloną górę skopywał znowu na ściany lepianki. Przechodzący ze wsi zastanawiali się kiwając głowami i nie wierząc oczom swoim; tak im się upór i przemyśl cygana niepodobnemi do prawdy wydawały. Stare baby szeptały między sobą, zdaleka palcami wskazując ziemiłankę rozpoczętą.

– Niedarmo cygan! On coś zna!

Posadzono go o pomoc szatana, a myśl ta przyjęła się łatwo u wszystkich; nawet biędna Motruna choć głową potrzasała słysząc o tém, zalekła się trochę. Ale serce, które wytłómaczy co zechce, rozpędziło tę bojaźń chwilową.

Stary Lepiuk tymczasem leżał chory ciągle, nie wstając z tapczana i przekleństwami okrutnemi ścigał córkę, ile razy mu się nawinęła na oczy. Nie śmiał on nawet dotąd nikogo zapytać o cygana: tak go jątrzyła myśl sama, że mógł, pomimo spalenia chaty, pozostać.

Któręś niedzieli nareszcie przyszli do niego w gości dwóch sąsiadów i siedli przy chorym, rozpytując go, co mu było, a radząc po swojemu, to żydówki znachorki, to baby co zamawiać umiały. Lepiuk słuchał tylko nic nie odpowiadając; po godzinie jakoś się trochę rozruszawszy, posłał po flaszkę wódki, wychylił kilka kieliszków: błysnęły mu oczy, wstał z tapczana.

– A co tam słyhać na wsi? – zapytał schrzypłym głosem.

– Co ma być słyhać – rzekł Skorobohaty – co zawsze: pańszczyznę pędzą a pędzą, ludzie stękają, chleba niewiele a biedy dosyć.

– Czemużbo nie powiecie – przerwał mu drugi – o cyganie, ta to jest czego posłuchać!

Lepiuk się wstrząsnął i drżącą ręką sięgnął po wódkę, której trzeci kieliszek wychylił.

– O cyganie? o cyganie? – pomruczał oglądając się w koło – a no gadajcie, kiedyście o téj bestyi już mówić zaczęli. Czy jeszcze jest we wsi?

– I jest i nie słyhać żeby się wynosił – rzekł Skorobohaty. – Wszyscy mówią, że coś zna, i to pewna. Myśleliśmy, że jak mu się spaliła ziemianka, plunie do licha i Stawisko porzuci; a on już drugą począł stawiać!

Lepiuk się zerwał z tapczana, klnąwszy nieprzytomny z wielkiej złości po cygańsku; czego się strzegł, i chyba w największym gniewie wyrwał mu się ten głos stariej natury.

– **Bynka ciawa!** (diabli syn).

Zaledwie słowa te usłyszał, ochłonał i usiadł znowu, patrząc

przerażony, czy go rozumiano; trząśł się cały, ale uśmiechem nadrabiał.

– A to prawda! – skrzył nagle – że cygan twardy! Drugiby i nie pomyślał probować! Napatrzyłem się ja, jak belki z lasu samołużkiem ciągnął, lub na plecach nosił; myślałem, że mu oczy ze łba wylizają, a krew nosem buchnie; ale nie! jeszcze się drugi raz zaprzął do swego! No! no! uparta natura!

Słowa te wyrzekł szybko, chcąc widocznie omamić udanym spokojem swoich gości, ale nadto był gniewny, żeby się zdobył na malowaną obojętność.

Oczy mu latały pod brwią, zapalone niecierpliwym rozdrażnieniem, pierś szybko się wznosiła, dłoń miotła jak w febrze.

– Ej! połóżcie się lepij – rzekł wstając Skorobohaty – nie jesteście jeszcze zdrowi, to zaraz widać: z chorobą nie ma co żartować. Komu jak komu, a nam starym najmniej.

Pożegnali go gospodarze i odeszli. Lepiuk się położył mruczając. Wieczór przeszedł w milczeniu posepnym, noc nadchodziła i spać się już kładziono w chałupie, gdy stary począł jęczyć i stękać.

Przybiegła córka, ale ją odepchnął z przekleństwem i silnym głosem zawołał starszego syna. Zaświecono łuczywo, wszyscy się zerwali na nogi: synowie, najmici, kobiety i dzieci.

– Co tobie ojciec? – spytał starszy przybliżając się.

– Co? – rzekł powtarzając pytanie zwyczajem ludu Lepiuk – ot pora przysła umierać; i, żebyż pora! ale bez pory skończyć

muszę! Niechaj Janko jedzie po księdza... a ty słuchaj, co ci powiem.

Obejrzał się po izbie brew zmarszczywszy.

– Won baby! – zakrzyczał...

Kobięty usunęły się do sieni i alkierza, on sam pozostał z synami.

– Wiecie – zawołał – że Motruna pokochała się z tym cyganem... Jam mu chatę spalił, nic nie pomogło: buduje się słyszę i siada czyhać na nią. Ja sam jestem cygańskiego rodu – dodał ciszej i oglądając się po izbie – ale nie chcę krwi cygańskiej więcej, żeby nas palcami ludzie nie wytykali. Nie puszczajcie Motruny za cygana, choćby wam po nogach łażyła płacząc, choćby umrzeć miała! Słyszycie! słyszycie?! Jeżeli się uprze niepoczciwa, to ją ożogiem z chaty wygnajcie jak psa, i ani szmaty na koszulę, ani grosza nie dawajcie wyprawy! Ja tak chcę! słyszycie!

– A jak dwór pozwoli? – spytał starszy syn cicho – co mam robić?

– Co ja każę. Zechce iść na zgubę i hańbę, niech idzie; ale to nie będzie wasza siostra, ani córka moja. Precz z nią!

Długo tak jeszcze mówił stary, a Motruna przytulona do nieszczelnych drzwi alkierza, słuchała płacząc a nie śmiejąc odezwać się z jękiem; powtarzała tylko jak nieprzytomna:

– Oj dolaż moja, dola! o dola nieszczęśliwa!

O północksu nadjechał ksiądz, a nadedniem stary Lepiuk w gorączce, nieprzytomny, z krzykiem i miotaniem się

zmarł, cygańskimi wyrazy niezrozumiałe jakieś nucąc pieśni, opowiadając dzieje i wiodąc rozmowy. Przytomnych dreszcz przebiegał, tak straszliwie męczył się w ostatniej godzinie, nie znajdując w uściech słów innych, nad pierwsze wyrazy dzieciństwa... Może czuł, że się wydaje sam z pochodzeniem swoim i utajoną naturą, a nie mógł powstrzymać, bo własna mowa zdawała się go jątrzyć i w coraz większy szal wprawiać.

Nareszcie sił zabrakło na walkę, oczy stanęły słupem, usta okryła piana, oddech wyrwał się z piersi rozbitej ciężki, głośny, przerażający. Lepiuk skonał.

Krzyk rozległ się w chacie natychmiast i płacz pobudził sąsiadów; Motruna jedna pozostała w alkierzu skulona i przybita do ściany, płacząc łzami bez jęku, jakby się jeszcze obawiała ojca, i powtarzając swoje: o dolaż moja, dola!

Ledwie ją bracia i bratowe potrafiły zagnać do pracy; bo w życiu wieśniaka i najsroźsze cierpienie nie uwalnia od niój: nie ma się kim wyręczyć. Bóg tak dał biednym, by zajęciem boleść ośłodzić.



Tymczasem nędzna za wsią lepianka znowu się powoli podnosić zaczynała: stały już słupy, zarzucały się ścianki mizernymi kołkami, które glina pokryć miała, a krzywe uszaki oznaczały miejsce ciasnych drzwiczek i małego okienka. Tumry nadźwigawszy się drzewa, spokojniej teraz na placu już się

krzątał, pilnując swego dobra ostrożnie. Trochę słomy rzuconej na pochyło spartych żerdziach, zasłaniało go od deszczu i stanowiło tymczasowe jego schronienie. Wybiegał on czasami w jar pobliski, czatując tam na przechodzącą w pewnych godzinach Motrunę, ale od dni kilku widzieć jej nie mógł; a że z ludźmi wiejskimi oprócz wójta mało się spotykał, nie domyślał się ani choroby, ani śmierci Lepiuka, przypisując bojaźni ojca ostrożność Motruny.

Dnia jednego ku wieczorowi robił cygan około belki, gdy zdala słyszeć się dały śpiewy i płacze: postępujące drogą ku cmentarzowi. Niejeden pogrzeb tak przeszedł już mimo jego chaty; Tumry tylko w czasie obrzędu rzucać musiał pracę i z odkrytą głową stał sparty o ściankę swojej kletki, szanując przypomnienie śmierci, wielkiej **Mutes-oro**, którą i **Romy** nawykli z przestachem spotykać.

Siekiera jego przestała ciosać; Tumry odstąpił kroków kilka, zamyślił się, ręce na piersi skrzyżował i oczy jego z zabobonną trwogą zwróciły się ku wąwozowi, po nad którym już poczynały powiewać wierzchołki różnobarwnych chorągwi, a między nimi proporzec czarny śmierci z trupiami głowy i łzami. Orszak postępował powolnie i rozwijał się na drodze; szli bratczycy, diak, ksiądz, nareszcie dwa siwe woły wielkie, wolno stąpając ciągnęły prosty wóz na górę, a z nim białą trumnę wieśniacza, na której bochenek chleba w szarym ręczniku spoczywał: ostatni chleb pożegnania!! Za wozem tuż ujrzał Tumry idących dwóch braci Motruny i ją samą zawodzącą boleśnie; serce na chwilę

bić mu przestało, wlepił oczy, pobladł, domyślił się że **mutes** zabrała mu nieprzyjaciela. Dzikie dziecię włóczęgów nie uczuło ani politowania, ani żalu: uczucie jakiejś radości i nasyconej zemsty, pogańskie, poruszyło jego sercem; ale razem z niem przyszedł wstyd, i Tumry schował się za węgieł lepianki, by nie stać zwyciężonym na oczach. Motruna ani spojrzała na chatkę ukochanego, przed którą zastanowił się wóz żałobny, bo przez bramę cmentarzyka wjechać nie mógł, a trumnę wniesiono na barkach do przygotowanego wprzód dołu.

Przez cały ciąg smutnego obchodu cygan nie słyszał ani śpiewu, ani narzekania: tak silnie miotała nim nadzieja odrodzona doścignienia celu, pochwylenia Motruny... Stary nie żyje, powtarzał zadumany, stary nie żyje, bracia nie będą mi się przeciwiać, wójt mi dopomoże: ona moja! Byłem chaty dokończył, ona moją być musi!

Ani się spostrzegł, jak sucha ziemia zasypała zwłoki starego Lepiuka; zaskrzypiał wóz, rozeszli się ludzie, i znowu milczenie głucho, przerywane tylko krakaniem wron zbierających się na słoć, zaległo puste wzgórze. Niespokój pędził go do pracy: pochwycił siekierę i wybiegł z za węgła, rzucając okiem ku mogilnikowi. Nikogo już tam nie było, tylko naprzeciw wrót żółta świeża mogiła, a po drodze ślady świeżych kół i stóp ludzkich świadczyły o obrzędzie, który bez nich mógł się dla cygana snem wydawać.

Nie postrzegłszy nikogo już podnosił toporzysko, gdy go ktoś zcicha pozdrowił. Odwrócił się przerażony; wójt z twarzą

zafrasowaną stał niedaleko na kiju oparty.

– A cóż tam Tumry? – odezwał się stary – pracujecie, pracujecie, ani myślicie spocząć?

– Póki sił, panie gospodarzu: „co się zaczęło potrzeba skończyć”, mówi cygańskie przysłowie i cygańska natura.

– A ot i my tu przyszli nie w porę z temi odwiedzinami – dodał Laszuk kiwając głową – i przyprowadziliśmy sąsiada, któremu nocką może niebardzo rad będziesz.

Cygan trochę się zmieszał, ale chciał udać, że nie wie kto umarł.

– A któżto zmarł? – spytał obojętnie.

– Nibyto nie wiecie – odparł wójt. – Toż Lepiuk, i bez czasu! Gryzł się, gryzł podobno Motruną, i nie wytrzymał.

Cygan milczał z głową spuszczoną.

– A taki – dorzucił Laszuk – i umierając swego nie darował, bo synom słyszę srogo przykazał, żeby Motruny za was nie dawali.

Tumry wzdrygnął się cały, podrzucił głową.

– Co mówicie? – zawołał – doprawdy?

– Najpewniej: słyszałem od sąsiady, która słuchała z sieni, jak synów uczył przed śmiercią. No! a co myślicie teraz?

– Cóż? – rzekł powolnie młody chłopak – nie zląkłem się ojca, nie przeleknię i synów; co Bóg da, to da, a ja swoje robić muszę.

– Ej! porzucilibyście – odparł wójt. – Chatę sobie budujcie, kuźnię stawcie, ale gospodarskiej córce dajcie taki pokój, bo bracia nie pozwolą, a i gromada za nimi: chybabyście ją gwałtem porwali.

– A któż gwałtem bierze żonę! – zawołał Tumry – to u was niewidziana rzecz: i gdzieżbym ją poprowadził? Nie mówmy lepij o tém, panie gospodarzu.

Wójt poczuł, że go nie przekonał i ramionami ruszył tylko w milczeniu.

– Tać wola twoja, nie gadajmy; nie chcecie dobrej rady, to jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz: co mnie do tego! Ot księżyc wschodzi, czas do domu! dobranoc!

– Dobranoc – odpowiedział cygan, i znowu wziął się do swojej roboty.

Słońce już było zaszło, księżyc w pełni wypłynął powoli na niebo, ostatki wieczornych brzasków i światła nocnego mieszając się z sobą, stanowiły zmrok przejrzysty, a Tumry z nadchodzącą nocą nie przerwał ciesielki. Praca była mu potrzebą bo myśleć nie dawała, płakać i trapić się; i spoczywać też nie mógł obok téj świeżej, żółciejącej mogiły, którą oczy jego spotykały wszędzie, która mu się mnożyła w około i w tysiącnych przedstawiała kształtach.

Całą tę noc pierwszą spędził zapalczywie rąbiąc co napadł, przy świetle pełni na czystém niebie, co chwila się wstrząsając za każdym wierzby niedalekiej szelestem: bo szmer ten, śmiechem mu się zmarłego wydawał i zimny dreszcz przelatywał mu po plecach, gdy myśl podbudzona szalem uczucia, wywołała Lepiuka z mogiły, a z nim tysiąc nieboszczyków wstających na pomoc.

Nawet cisza nocy, wśród której każde uderzenie jego siekiery

rozlegało się z dziwném brzmieniem rozchodzącém się daleko, przerażała Tumry; pot lał się z niego strumieniem, siły się wyczerpywały, oko mgłą zachodziło, wśród której żółte skakały mogiły. On rąbał, rąbał, siekł aż do brzasku, a gdy słońce zarumieniło wschód chmurny, rzuciwszy nareszcie siekiere, padł na ziemię bezprzytomny.

Nocna praca zniszczyła niemal cały zapas drzewa, porąbanego w nieforemne kawałki.

Gdy się obudził, słońce piekło skwarne, a zdala huczała nadchodząca burza; poprzedzający ją wicher szalał na wzgórzu, i onto chłodząc pierś jego przerwał mu sen dziwny, znużenia i gorączki. Tumry z dreszczem i spaloną wargą obejrzawszy się po niebie, zaledwie potrafił zwlec się pod słomiany swój daszek, na garść zeszlęj trawy, na której upadł znowu, czując, że żelazna ręka choroby ciśnie mu pierś i głowę.

Wypadki wczorajsze, pogrzeb, rozmowa, nocne szały: wszystko mu się mieszało w kłębek różnobarwnych nici nierozpętany, który ręka **Nasuo – oro** (choroby) targała i miotła bezlitośnie.

– Umiérać! to umrę! – zawołał cygan waląc się na ziemię – tak lepiej niż się męczyć.

Wkrótce Tumry stracił znowuż przytomność. Myśli jak burza na niebie zwiły się mgliste, jasne, czarne, piorunowe i poczęły

przebiegać rozpaloną głowę; czas, miejsce, wszystko znikło z przed niego, a pozostało niewysłowione, dziwne, a zarazem rokoszne cierpienie, coś nakształt snu utkanego z przypomnień ziemskich i widzeń niebieskich. Była tam i nędzna młodość, i śpiew Romów, i wykrzywione ich twarze, i taniec Azy, i stukot młota Aprasza, i dymy cygańskiego kotła, i skrzyp ich woza, i Motruna; i stary Lepiuk, pogrzeb, mogiła, noc, pożar chaty i postacie jakieś nieznanne, straszne i wdzięczne, i przeczucia niewysłowione, i wszystko czém brzmi życie i czém mówi śmierć nadchodząca.

Zdawało mu się, że umiera, a umrzeć nie może, że leży martwym w jednej trumnie obok cygana Lepiuka, a w pierś jego wbijają krzyż i wbić nie mogą, bo go krew buchająca wypycha.

Po widzeniach tłumnych, ciszej się jakoś poczęło robić w jego duszy, jak gdyby już umarł: ustąpiły dręczące widma, szaro zawił się widnokrąg i spokój mogiły skrzydłem go chłodnym otoczył.

Otworzył oczy, zdawało mu się że śpi znowu, bo ujrzał przed sobą płaczącą Motrunę, która dzbanek do ust jego nachylając, śledziła w nim ostatki życia. Kropla wody orzeźwiła go wreszcie, mgły gorączki rozchodząc się poczynają, pojaśniało mu w oczach, ruszył się, podniósł powoli. Nie było sen: piękna Motruna klęczała przy nim oblana łzami i mówiła do niego, ale słów jej jeszcze zrozumieć nie mógł. Brzmiały mu one w uszach jak pieśń jakaś dźwięczna, którą napróżno silił się schwycić.

– Tumry, Tumry – wołała dziewczyna – co ci to jest?

Odpowiedz mi? co ci się stało?...

– Co mi się stało? nic! Był pogrzeb, potem rąbałem noc całą, potem usnąłem, śniłem burzę, mogiłę i nie wiem jak spałem długo.

Dziewczyna w ręce klasnęła.

– A toż trzeci dzień, jak mego ojca pochowano, zawołała. – Tyś chory, tyś trzy dni leżał bezprzytomny...

– Chory! może – słabo odpowiedział Tumry – ale cóż zrobić chorobie? Głód i sen ją przemogą, lub ona człowieka; na to tylko **Mroden-oro** lekarzem...

– Ja pójdę do dworu – przerwała dziewczyna – do pani; juścić nie dadzą tak umrzeć człowiekowi bez pomocy: oni się znają, oni poradzą...

Tumry nic nie odpowiedział, ale wzrok obłąkany: bezsilny i bezmyślny, którym rzucił na Motrunę, przeraził ją do reszty; zerwała się.

– Oto woda! oto chleb – zawołała – a ja polecę do dworu. Jeśli nic zrobić nie zechcą, sama powrócę; niech bracia zabiją mnie jeśli chcą, a ja ciebie tak nie opuszczę.

I rozplakane dziewczę wprost przez jary i krzaki puściło się ku pańskiemu dworowi, myśląc a frasując się, jak i do kogo z prośbą swoją przystąpi. Ani się spostrzegła biedna, jak ją ten los, który często tak rozumny bywa, że mu w pewnych razach wcale inne wartoby dać nazwisko, zaniósł w piękny ogród otaczający dwór pana.

Mieszkał tu jeszcze pan Adam, ale już żonaty, gdyż

wykradziona guwernantka, *Madame Le Roux*, szybko poprowadziła sprawę małżeńską, i ani się opatrzył kochanek, jak mężem został. Wielkie zmiany zaszły we dworze, w którym już nie pan, ale pani panowała, silną dłońią chwyciwszy męża i wszystko co ją otaczało. Pan Adam był, co najdziwniejsza, zawsze zapalonym kochankiem i pierwszym jej sługą, choć kilka miesięcy upłynęło już od pierwocin szczęścia jego. Tę stałość winien on był niepospolitej znajomości serca ludzkiego, z jaką umiała nim kierować żona. W istocie byłato najlepsza aktorka, najprzebieglejsza kobieta, najdowcipniejsza ze wszystkich guwernantek, jakie kiedy z Francji do nas przybyły, gnane biedą lub nadzieją. Wiele doświadczywszy na świecie, napatrzywszy się ludzi zbliska, pani Le Roux, a drudzy mówili panna Le Roux, doskonale świat i człowieka znała. Co dla drugiej zdawać się mogło niepodobieństwem: ujarzmienie i ustalenie takiego jak p. Adam człowieka, dla niej było igraszką. Potrafiła go zaciekawić, przyciągnąć, utrzymać i rządzić nim, najpospolitszej do tego używając sprężyny: – miłości własnej; na inne bowiem uczucie tu rachować było niepodobna. Adam ubóstwiany, czuł jakby mu się z wdzięczności na czulsze sentymenta zbierało, i dawał się prowadzić zgnuśniały, gdzie mu iść kazano. Przypomnijmy sobie, że nasza powieść dzieje się przed kilkudziesiąt laty, a może odgadniemy jak wyglądała Francuzka. Było szczątek kobiet sentymentalnych, które strojąc się na nutę wieku, bez uczucia, grały nieustanną egzaltacją i rozczulenia. Pani Adamowa wiecznie krążyła w

tych sferach d'Arincourtowskich, z Ibsiboe i innemi heroinami; na świat spoglądając okiem, które wszędzie widzieć chciało co wyczytało w książce. Romans był jój zajęciem, namiętnością, pokarmem; łowy uczucia całego życia celem. W sercu wszelako spokój panował największy, bo cały ów szął był sprawą zabałamuconej głowy. Zimna, wyrachowana, ostrożna, grała egzaltacją poświęcenia, męczeństwa; a po świecie tak szukała książkowych awantur, jak Don-Kiszot ciemieżycieli niewinności i uciśnionych heroin.

Nieszczęściem mało znajdowała pokarmu pani Adamowa w coraz bardziej prozaicznych czasach, których rzeczywiste oblicze z całą swoją poezją niepostrzeżone przed nią się usuwało.

Właśnie w chwili gdy zapłakana Motruna wpadła do pańskiego ogrodu; chodziła pani Adamowa z książką rozczulającą o przypadkach jakiejś nieznamomiej, po ścieżce nad wodą, wzdychając choć się jój bardzo poziewać chciało. Szelest liści rozbudził ją z odrętwienia. Zrazu sądziła, że z krzaków wystąpi rycerz, przyklęknie, załamię ręce i wynurzy swe płomienie przed pięknem zjawiskiem, za które siebie poczytywała; zdziwiła się więc mocno, ujrawszy zapłakaną wiejską dziewczynę, która biegła ku dworowi z oznakami przestraszenia i niepokoju.

Ale że Motruna była pomimo swego stroju wiejskiego wcale piękną, a boleść dodawała jój jeszcze wdzięku i wzniosłości; pani Adamowa przeczuwając w tém wszystkiém jakąś romansową awanturę, trochę nawet podejrzewając męża, co ją przestraszyło,

wstrzymała dziewczynę. Pobyt jej w Polsce wyuczył ją tyle języka ludu, że go zrozumieć już mogła; przystąpiła więc ku zapłakaniej i spytała ją, czego i dokąd tak leci?

Motruna, która pani szukała, na nią tylko rachując, ze złożonemi rękoma poczęła jej opowiadać naprzód o cyganie, potem o sobie, potem nagłona zapytaniami, rozpowiedziała całe smutne a krótkie dzieje poznania, pokochania, śmierci ojca i choroby Tumry.

Francuzka słuchała z natężoną uwagą, chwytając łakomie wyrazy; szczęśliwa, że nareszcie w żywym świecie znalazła kochanków, miłość prześladowaną, i caluteńki romans, wprowadzie w zgrzebną koszuli, z bohaterem cyganem, z heroiną chłopką, ale zawsze niezmiernie dla zgłodniałej wrażeń, łakomy.

Chwyliła za rękę dziewczynę składając książkę, zapomniawszy nawet o miejscu w którym czytać przestała, i odżywiona pobiegła z nią do dworu. Pan Adam drzymał po obiedzie; obudził go stukot szklanych drzwi i tak szybkie opowiadanie żony, że w początku rzucając oczyma to na nią, to na zapłakaną Motrunę, nic a nic zrozumieć nie mógł.

Przyszedłszy trochę do przytomności, znudzony zawsze i obojętny, pozwolił na wszystko, czego piękna Fanny wymagała po nim. Posłano natychmiast wóz po cygana, konie po doktora do miasteczka ruszono wszystkich ludzi, którzy pluli i klęli zmuszeni krzątać się dla włóczęgi; i nim słońce zaszło, Tumry leżał na folwarku, a w głowach jego łóżka siedziała Motruna, stała pani Adamowa i doktor.

W chorym oprócz gorączki pokazało się wyczerpanie sił pracą: skutki długiego cierpienia i niedostatku; ale natura potężnie jeszcze walczyła w nim z całym młodości zasobem, by go podźwignąć. Potrzeba mu było najwięcej spoczynku, pociechy i posiłku.

To wszystko znalazło się we dworze, a pani Adamowa zajęła się zaraz losem dwojga kochanków, zaprzysięgając, że ich musi połączyć.

Pani Adamowa, która już wówczas dla odżywienia męża podróżą, a raczej dla zobaczenia Francyi i ukochanego Paryża, wybierała się za granicę, nie patrząc na to, że chata cygana nie była ukończoną, że świeżo zmarł był ojciec Motruny, zaprzątniętą była z właściwą sobie żywością połączeniem kochanków.

Jak tylko doktor uspokoił ją o zdrowiu Tumry i zapewnił, że żyć będzie, rozkazała natychmiast przywołać do dworu braci Motruny. Przyszli oni smutni, zafrasowani, nie wiedząc co począć, poniekąd domyślając się o co chodziło, bo cała już wieś wiedziała, że cygana do dworu przeniesiono, i że nim się sama pani opiekowała. A że do traktowania z nimi nie czuła się zdolną pani Adamowa, ani pan Adam: wysłano ku nim totumfackiego, przybyłego do Stawiska jakoś niedługo po pobraniu się nowożeńców, kapitana Harasymowicza.

Słódko o panu kapitanie nie zawadzi. Byłto ranny w kampani którejś przeciwko Turkom, mężczyzna w sile wielu jeszcze: zdrów, olbrzymiego wzrostu i pięknej postawy. Mały mająteczek jaki posiadał w sąsiedztwie, złożony z dwóch chat tylko, puszczał dzierzawą, a sam przebywał to tu, to owdzie, włócząc się od komina do komina, z jednymi polując, z drugimi grając w karty, z innymi pijąc i hulając ochoczo. Byłto **natus** sekundant do wszystkich pojedynków, pretendent do każdej młodej wdowy, i gość przy wszystkich imieninach: jedném słowem rodzaj pasożyta, któremu choć niewielkie mienie własne dawało trochę niezawisłości i dozwalało głowę podnosić do góry.

Oprócz tych zajęć, kapitan handlował chartami, strzelbami i wszystkiém, co miał; a miał zawsze ładne rzeczy, jak gdyby umyślnie dla facyendy. On i pani Le Roux znali się od lat kilku, a złośliwi ludzie nawet mówili, że w bardzo czułych byli stosunkach; to pewna, że zaraz po przeniesieniu się pani Adamowej do Stawisk i on się zjawił, zajął kwatery w oficynie, rozgospodarował się, charty sprowadził i zdawało się, jakby tu miał zamieszkać. Pan Adam mówił nawet o powierzeniu mu majątku na czas podróży za granicę. Niedoleżność pana Adama, który rad się każdym wyręczał, dała pole kapitanowi schwycenia rządów majątku, dworu i opanowania Stawiska. Zręczny przytém umysł, charakter silny i przewaga, jaką mu otrzymać było łatwo nad gospodarzem, co dzień mocniej go na tém stanowisku ubezpieczały.

Z panią porozumiewali się jedném wejrzeniem i, jak służba

mawiała, znali się jak łyse koty; a we dworze tak osiodłali znużonego pana Adama, że wydawał się we własnym domu rezydentem na łasce. Pieszczono go za to i pochlebiano mu co wlażło, a wlażyło co chcieli.

Kapitan miał wysokie rozumienie o swych zdolnościach, urodzie, zręczności i w ogóle o przymiotach, którymi go obdarzyła natura: nic mu się nie wydawało trudnym. Wyszedł też do Lepiuków z miną gromowładcy, z cybuchem, którego jeden koniec krył się pod wąsem, a drugi włókł prawie po ziemi, w bok ręką się wzięwszy, pewien, że rzeknie słowo i przekona ich.

– No! – rzekł siadając na ławce w ganku naprzeciw dwóch chłopaków – wiecież czego was zawołano do dworu?

– Nie! Jaśnie Panie! – nisko się kłaniając, odpowiedzieli chłopcy.

– A zatem – dodał kapitan uśmiechając się – chcecie żebym wam powiedział o co chodzi. Słuchajcież.

– Słuchamy! – szepnęli podnosząc głowy chłopcy.

– Pani i pan chcą, żebyście waszą siostrę Motrunę dali za tego cygana, który tu na kowalstwie osiada; to ich wola i tak być musi.

Lepiuki spojrzeli po sobie i zamilkli; starszy wystąpił po chwili z nowym pokłonem aż do ziemi i odezwał się, dusząc czapkę:

– Toćby my to Jaśnie Panie nie sprzeciwiali się temu, kiedy taka wola państwa, ale jest przeszkoda wielka.

– Jaka? co za przeszkoda? – ofuknął kapitan.

– A cóż poradzić z nieboszczykiem, który tego nie chciał i

zaklął nas, żebyśmy Motruny za tego włóczęgę nie dawali. Słowo ojcowskie, słowo boże; synowi słuchać, nie rozbierać.

Kapitan, który moralność pospolitą zawsze uważał za doskonałą rzecz dla gminu, ale nieobowiązującą dla siebie, uśmiechnął się wzgardliwie.

– Co tam ojciec! – rzekł machając ręką. – Ojciec umarł, a wy róbcie co wam każą.

– Kiedyż myśmy się ojcu obiecali – odparł Lepiuk.

– Jakżeście mogli obiecywać, co nie w mocy waszég dotrzymać? – zawołał głośnieój kapitan. – Dziewczyna tego chce, dwór pozwala i rozkazuje, cóż wy możecie przeciwko temu?

– Motruna nie może tego chciéć, kiedy wie, że ojciec nie pozwolił – przerwał młodszy Lepiuk.

– Cicho!! – wrzasnął kapitan, stukając fajką z energicznym gestem – nie wdawaj się w rozprawy. Słyszycie rozkaz, słuchać i po wszystkiém; tak pan chce, tak być musi.

Bracia jakby naradzając się, spojrzeli na siebie, trochę przestraszeni zapalczywością pana Harasymowicza.

– Ale Jaśnie panie... ośmielił się starszy.

– Tu nie ma ale – przerwał wąsacz – nic, nic, posłuszeństwo i po wszystkiém. Dacie Motrunie co się należy, wyprawicie wesele...

Lepiuk młodszy podniósł głowę, jakoś zadraśnięty rozkazem zbyt absolutnym kapitana, rumieniec wybił mu się na twarz, ręka zadrżała.

– Kiedy taka wola panów, a my przeciw temu nic nie możemy,

to cóż gadać? Ale dla nas święta wola ojca, który umierając mówił, że jeśli Motruna pójdzie za cygana, on się jój wypiera za córkę, a my za siostrę. Niech państwo robią co chcą, ale wesela nie sprawim i z chaty nic nie damy, choćby nas nie wiem jak karać miano.

To rzekłszy, umilkł Lepiuk zagryzłszy wargi, a kapitan hardością niespodziewaną uniesiony, aż podskoczył z ławy.

– Co ty śmiesz mówić! – zakrzyczał – łajdaku jakiś! Będziesz się ty woli pańskiej sprzeciwiał! A wiesz ty czém to pachnie!?

Lepiuk ani drgnął, ani się ruszył, ani okazał zmieszanym, tylko zimne oczy zwrócił na kapitana i stał milczący; ale widać było w nich tak silną wolę, tak nieprzełamany upór, że Harasymowicz uczuł się zbitym i nie wiedząc co począć, zabełkotał tylko jeszcze:

– Ruszajcie, a com mówił, to się zrobić musi; z tobą zaś będzie inny porachunek – dodał grożąc Lepiukowi. – Idźcie precz!

Bracia skłonili się i poszli, a kapitan ochłonawszy nieco, wszakże nie swój trochę, wcisnął się powoli do salonu.

Naprzeciw niego wybiegła z iskrzącymi ciekawością oczyma pani Adamowa.

– A co kochany kapitanie? – spytała wdzięcząc się.

– Nic, chłopci jak zwykle chłopci: trochę się upierają, ale musi się tak zrobić jak chcecie.

– Mówisz że się opierają?

– At! plotą, że ojciec umierający zakazał im dawać tę dziewczynę za cygana, że się jój wyprą: głupstwa plotą. My

zrobimy jak pani każesz...

– Jakto! mówisz że się nie godzą?

– Ale któżby ich pytał!

– Są więc z ich strony przeszkody?

– Dzieciństwo! wola twoja, pani, jest tu wszechwładną.

– Ale ja nie chcę jęj nadużywać, wołę środki łagodności!

Kapitan ruszył ramionami.

– Co tam środki łagodności! U nas jest jeden tylko środek powszechny na wszystko: – kij; ten działa lepiej i skuteczniej niż najwyszukańsze argumenta. Będą się sprzeciwiać, każemy ich ochłostać i kwita.

Czuła Francuzka wzdrygnęła się, upadła na krzesło i twarz zakryła rękami białymi.

– Ach! barbarzyńco kapitanie! chyba żartujesz! Ja tego nie chcę, ja tego nie pozwalam; ja się oburzam na samą myśl przemocy.

– No, to rób sobie pani co chcesz – odparł kapitan ruszając ramionami – a ja się do niczego nie wdaję.

– Pan bo się musisz wdawać, i musisz robić jak ja każę – zawołała niecierpliwie Francuzka tupiąc nogami; – zawróć tych ludzi i staraj się ich ująć łagodnością, datkiem, pieniędzmi, czém chcesz, ależ przecież nie kijem!

– Ale zmiłuj się pani, tego się nie podejmuję – oburzył się rezydent. – Dziś ich zawracać, a toby dopięro nosa do góry zadarli! Jutro się pomówi z niemi, bądź pani spokojną.

Tak się w pokoju skończyła rozmowa nadejściem pana

Adama, który ziewając wsunął się przez przecucie godziny herbaty. My przenieśmy się na wieś, z powracającymi Lepiukami.

Koło karczmy oczekiwało na nich kilku poważniejszych z gromady, wiedzących już, że ich zawezwano do dworu, a ciekawych jak tu sobie państwo postąpią. Usposobienie ludzi jakkolwiek cyganowi niezbyt w początku nieprzychylnych, skłaniało ich ku Lepiukom raczej; przeczuwali bowiem, że przeciw nim będzie dwór, i oburzali się na to wtrącanie się w domowe ich sprawy. Ztąd i cygan będący przyczyną wdania się panów, coraz im bardziej obmierzał; nie mieli z niego postługi żadnej dotąd, a tu im zagrażało, że się z nimi bracić będzie, co dla wszystkich niemilem było. Nim Lepiuki powrócili ze dworu, w kupce oczekujących już żwawo rozprawiano o tém małżeństwie i jego skutkach.

– Co to – mówił Skorobohaty, poprawiając pasa i podskakując jak miał zwyczaj na jednej nodze – co to? lada przybłąda, wołokita będzie nam zpod nosa brał gospodarskie córki i na naszej ojcowiznie osiadał. Tego u nas nie bywało! Co tu panu do tego, co my robimy z naszymi dziećmi: albo to nie krew nasza, o którą tylko Pan Bóg spytać może?

– A to prawda – ciszej dodał tchórzliwszy Symiacha – ale nie gadajciebo tak głośno! jeszcze kto posłuszy! Cyt! cyt! A ot i Lepiuki: choćmy z nimi do ich chaty, bo tu przed karczmą niezdrowo; zaraz dworaki doniosą, że już się wieś buntuje, i bięda będzie.

Skorobohaty ruszył tylko ramionami, ale przyjąwszy radę, posunął się ku chacie Lepiuków, do której i oni ze spuszczonej głowy powolnie zmierzali.

– A co? – zapytał ciekawie – czy taki o Motrunę?

Bracia radzi zasięgną od doświadczonego zdania, opowiedzieli mu całą swą rozmowę z kapitanem i ostatni wyrok jego. Starszy powtórzył, co mu trochę uniósłszy się zwiastował.

– Dobrześ powiedział, chłopcze – począł Skorobohaty – tak się i należało, i tak róbcie; dwór się pomiarkuje, ta **chrancuzka** się złęknie, a kapitan... **oj! oj! sławny buben za horami!!** Alboż to pan! nic z tego nie będzie...

– No! a jak się uprą! – rzekł młodszy Lepiuk.

– To niech ją wydają do trzysta diabłów – gorąco podchwycił stary – niech ją sobie wydają za kogo chcą; a jeśli cygan ją weźmie, cała wioska wyprze się i jój i cygana, nikt do nich słowa nie przemówi, nikt im ręki nie poda, nikt ich znać nie zechce. Ot! co będzie...

Spojrzał Skorobohaty po gromadzie, wszyscy widocznie poklaskiwali mu i potakiwali.

– Tak! tak! niechaj siedzą w chacie pod mogiłkami, a do wsi się nie pokazują nawet, bo ich psami wyszczujemy!

– Psubrat cygan – podchwycił drugi – będzie sobie dziewczki u nas wybierał! ho! ho!

Stanęło więc na tém, że bracia mocniej jeszcze w oporze swoim podtrzymani przez gromadę, zaprzysięgli siostry nie dać po dobrej woli i wrócili do chaty nic nie mówiąc Motrunie, ale

chmurni jak noc.

Ona przeczuła co się tam działo na wsi: widziała jak szli do dworu, dostrzegła narady ze Skorobohatym, domyśliła się co za wyrok padł na nią; ale udawać musiała, że o niczym nie wie, że się tém ani zajmuje. Jako na najmłodszą, spadły na nią najcięższe domowe posługi; bratowe gromiły ją nieustannie: milczała i płakała. Ciężko nawet było teraz wyrwać się do dworu dla widzenia się z cyganem, bo jój nie spuszczano z oka, a gdy przyszło na pańszczyznę, posyłano inną, żeby nie miała zrzeczności zajrzeć na folwark.

Nazajutrz wieczorem znowu posłano po Lepiuków obu, a kapitan z instrukcją nową wyszedł ku nim prawie uśmiechnięty.

– No! – rzekł – musieliście się namyślić od wczora; nie ma co wody warzyć. Motruna musi pójść za cygana, a zatém przygotujcie jój uczciwe weselisko...

Lepiuk się pokłonił do ziemi, gdyż wieśniak wołyński kłania się nawet gdy słuchać nie chce, z nałogu.

– Niech sobie państwo robią co chcą – odezwał się z pokorą i jakąś rezygnacją zastanawiającą – my ani wesela nie sprawim, ani możemy na to się zgodzić co ojciec zakazał; to już ja panu wczoraj mówiłem.

Kapitan spojrział w oczy młodemu chłopcu i zdziwił się, spotkawszy toż samo wejrzenie zimne na pozór, ale niewypowiedzianie potężne, które go wczoraj tak zastanowiło. Czytał w niem bezwładny opór człowieka: który już przygotował się na wszystko i czeka co z nim uczynią, nie myśląc się dać

pożyć na groźbie, ani prośbie, ani boleści. Nie ofuknął się tą razą pan Harasymowicz, ale rozśmiał, choć go to niepospolicie podrażniło.

– Gdyby to moja była sprawa – odezwał się powoli – wiedziałbym jak począć. Wasi państwo aż nazbyt są dobrzy i łagodni; nie chcą was siłować wola ich!! Powiem wam więc od państwa, że pani bierze na siebie i koszt wesela i posag Motruny i jeszcze obiecuje wam wasze posłuszeństwo wynagrodzić, ale żąda, żebyście tak zrobili, jak ona każe.

Lepiuk schylił się znowu do ziemi.

– Bardzo dziękujemy państwu – odezwał się nieporuszony – ale kiedy taka była wola ojca!

Kapitan już się zżymał, świerzbiał mu cybuch w rękę.

– No! pani wam daje parę wołów, byleście tak zrobili, jak się jej podoba... Słyszycie!!

Lepiukowie spojrzeli po sobie, starszy się zgiął, westchnął i rzekł:

– Cóż my poradzim, kiedy ojciec tego nie chciał!

– A cóż u sto tysięcy diabłów – krzyknął kapitan – więc i to odrzucacie?

– Wola pańska i Boska! – westchnął starszy.

Napróżno kapitan prosił jeszcze, fukał, groził, gniewał się, ofiarował pieniądze: nic nie pomogło. Lepiukowie zostali przy swoim i odeszli przygotowani do zniesienia co los nada.

Gromada jednogłośnie oświadczyła się za nimi, i trudno wyrazić jakie uczucie pobudził w niej, ten tak mało napozór

znaczący wypadek. Im silniej nalegał dwór, tém uporniej obstawali przy swoim bracia, a cała ta sprawa wywołała w Stawisku niechęć ku panom i gorszą jeszcze nienawiść dla cygana.

Nareszcie pani Adamowa przekonana, że inaczej jak siłą nie zwycięży, rozkazała Motrunę zabrać do dworu, posłała na zapowiedzi i wbrew woli wszystkich, zajęła się weselem, przyspieszając je z powodu wyjazdu za granicę, który natychmiast miał nastąpić.

Smutnęto zaprawdę było to wesele! Napróżno zastawiano wódkę, piwo i sute przyjęcie: nikt ze wsi nie przyszedł, bracia ani się pokazali, żadna dziewczyna nie chciała być druchną, żaden parobek swatem i marszałkiem; wszystkich urzędników wesela musiano wybrać z ludzi obcych i dworskich. Upor zacięty gromady był nie do pokonania.

Nikt prócz państwa nie pobłogosławił biędnej dziewczynie; płatka nie dano jój z chaty ojcowskiej, bracia pochowali się, żeby się z nią nie spotkać. Widząc to Tumry i przeczuwając jakie ich czeka życie, chciał uciec i wyrzec się swego szczęścia; ale łzy Motruny, bojaźń wystawienia ją na późniejszą zemstę rodziny, sama w ostatku miłość, przemogły.

Dziewiczy wieczór zszedł bez pieśni prawie, korowaj upieczono we dworze bez tych obrzędów, jakie towarzyszą zwykle mieszaniu i przygotowywaniu symbolicznego placka; w cerkwi pustka, w siole jak wymiółł, a wieczorem na tańcach sami dworscy, hałastra pijana. Nikogo krewnego, nikogo

swojego, nikomu przytulić, pocieszyć i ośmielić sierotę. Motruna rozlewała się we łzach ciągle: tak ją już przerażała przyszłość, którą widziała przed sobą. Cygan siedział zadumany, przełękły swym losem, jak żywy posąg smutku; tylko czarne oko zpod brwi nawisłej błyskało.

Na tém, myślicie zapewne, powieść nasza skończyłaby się powinna. O nie! w książkach tylko wesele wszystko zamyka, w życiu od niego się dopiero poczyna historia ludzi; za niém idą pierwsze roskosze, cierpienia, nadzieje, zawody, rozczarowanie, praca i cały szereg znanych wprzód tylko z nazwiska uczuć i wypadków. Właściwiéj daleko bohaterowie powinni by się żenić w pierwszym rozdziale; ale w ten sposób smutniejszą choć może więcéj zajmującą byłaby powieść, odarta z chwil nadziei, zamknięta w rzeczywistości. Dopóki miłość (a miłość, niestety! nie z natury malowana, ale tak prawdziwa jak pejzaż Bouchera lub Watteau) była jedynym przedmiotem powieści: – ostatnią jéj kartą ślub być musiał. Dziś wcale inaczej: – przedmiotem powieści jest życie samo, ze wszystkiemi objawami swemi i w całej swéj nieprzebranej różnaitości; miłość i wesele w niém chwilą i jedną tylko kartą w opowiadaniu.

Wracamy do Motruny i cygana.

Nazajutrz po ich pobraniu, państwo Adamowie ruszyli za granicę, zostawując rząd majątku kapitanowi, i co z niemi

się stanie, niebardzo się już troszcząc. Francuzka sądziła, że dopełniła do czego się czuła obowiązana, czułą parę łącząc na wieki węzłem nierozzerwanym; nie przyszło jej na myśl nawet, że nazajutrz po ślubie może im chleba zabraknąć.

Tak było w istocie; chata Tumrego stała niedokończona, drzewo nawet przygotowane na nią popsuł był owój nocy po pogrzebie, kiedy nim dziwny strach owładnął. Pani zostawiła im tylko jedną krowę, bracia nic nie dali, a małżeństwo nazajutrz po weselu nie wiedziało gdzie się podzić i czém się dalej wyżywić.

Kapitan, który pozostał w Stawisku, po odjeździe dziedziców wcale nie myślał się kłopotać losem nowożeńców; a że izba, w której przytulono cygana była potrzebną i nie było ktoby się zaopiekował sierotami: oddano im najgorszą krowę z obory i rozkazano szukać sobie schronienia na wsi.

Tak ledwie skrzypki ucichły, biędni zostali bez dachu, bez przytułku, nie wiedząc gdzie się podziać, i całą wieś mając przeciwko sobie. Ani pomyśleć nie można było zapukać do drzwi chaty: niktby ich nie przyjął. Ze dworu wypędzony cygan wziął Motrunę za rękę, która maleńkie zawiniątkoniosła tylko pod pachą, i w milczeniu wyszli, kierując się ku cmentarzowi.

Kawałek wczorajszego korowaju, całym był ich zapasem. Tumry unikając dla żony przechodzenia przez wioskę, wyszukał instynktem ścieżkę poza ogrodem, i jakkolwiek była niewygodną, wolał się nią puścić, niż spotykać się z ludźmi coby z nich szydzili. Ze spuszczoną głową i zadumany szedł myśląc jakby tu sobie poradzić. Chacie brakowało dachu, części ścian,

drzwi, okien, pieca, i całego gospodarskiego sprzętu; nie mieli ani grosza, ani mąki, ani chleba, ani nawet dzbana, którymby wodę zaczerpnęli... Co począć? od czego zacząć? gdzie tę krówkę zamknąć? czém ją karmić?

Motruna płakała i pocichu łamała ręce, niekiedy przypominając przekleństwo ojcowskie; i szli tak nie śmiejąc się odezwać jedno do drugiego, pod górę, drożyną, aż ku początej chacie zagrodnika.

Zdawało się, że oboje radzi byli przedłużyć drogę, oddalić chwilę stanowczej rozmowy; ale ścieżka krótsza niż inne, zawiodła ich wprędce przed drzwi cmentarza i lepianki.

Tumry w milczeniu przywiązał krowę do słupa, a Motruna sparła się o ścianę, oczy nieprzytomne wlepiając w cmentarz, na którym jeszcze żółciała ojcowska mogiła.

Jéj łzy bolały nieszczęśliwego cygana, który czuł, że z jego przyczyny płynęły; choć bezsilny i sam cierpiąc, wymógł na sobie uśmiech i odwagę.

– Nie płacz – rzekł do niej pocichu przybliżając się – płacz nie pomoże, potrzeba myśleć co z sobą zrobimy. Ja chatę dokończę przed zimą, tymczasem choć jedną izbę zamknę za dni kilka; ale żyć nie będzie z czego, trzeba naprzód krowę sprzedać.

Motruna gotowa się była zgodzić na wszystko, choć w sercu żał jéj było tego stworzenia, które czémś więcej dla niej było niż datkiem pieniężnym: było zajęciem, towarzystwem, nadzieją.

– Szkoda krówki – szepnęła – ale cóż robić? Jak trzeba, to mus...

– Czémże ją przekarmim, a czém wyżyjem sami! Wszak to jesień!

– Poszłabym do braci...

– Do braci? – podchwycił cygan brew marszcząc, nigdy! nigdy! Gdybyśmy konali z głodu, ręki do nich nie wyciągniemy, trzeba sobie wystarczyć. Nie mów mi o tém... Czasu nie możemy tracić; idź z krówką do miasta, sprzedaj ją, wiesz co na gospodarstwo potrzeba; ja muszę z chatą spieszyć... Tylko śmiało, Motruno, niech się ludzie wściekają, a ja im pokażę, żem coś wart!

To mówiąc cygan z zapalem jakimś pocałował ją w czoło, zrzucił z siebie opończę, porwał siekiere, oczy mu się zaiskrzyły, chwycił się do roboty. Motruna patrzyła na to, i odwaga powoli wstępowała jéj do serca; dumiała chwilę, potem odwiązała krówkę od słupa, otarła oczy fartuchem, i z niejakiém wahaniem, żegnając męża w milczeniu, skierowała się drogą ku miastu wiodącą.

Cygan tymczasem jak w gorączce rwał się do roboty. Od czego tu począć? jak sobie dać rady! Opadały ręce, czuł rozpaczliwie niemożność; to znów pragnienie pokazania swéj siły podniecało go i utrzymywało. Robota w takiém usposobieniu szła szalenie szybko, a ręce dźwigały ciężary, które chyba dusza pomagała im podnosić, bo w zwykłym stanie nie byłby się nawet o nie pokusił. I było widok zajmujący tego człowieka z czołem chmurném, z usty zaciśnionemi, oblanego potem, miotającego się jak cyklop wśród nawału bierwion i drzewa różnego, które w

silnych dłoniach jego chrząszczało. Siekiera gorzała mu w rękę, trzaski leciały świszcząc w powietrze, a wola dokazywała cudów; co chciał, robił z taką pewnością, z takim jakimś przeczuciem skutku, że się ani zawahał przed niepodobieństwem. Nie pomyślał nawet o spoczynku, o jadle, o wytchnieniu, a im więcej pracował, tym praca stawała mu się lżejszą. Ani się spostrzegł, jak noc chmurna nadeszła i nagle zciemniło mu się zupełnie.

Powlókł okiem po niebie osłoniętym, dobył krzesiwo, naniecił ognia z trzasek i obłamów, i nuż znów do dzieła! Wiatr rzucał mu w oczy dym gorący, migało światło rozdmuchiwane i gasnące naprzemiany; Tumry na nic nie zważał, a sama robota podnosząc go coraz bardziej na duchu, potęgowała w nim wszystkie władze, przechodzące zwykłe normalnego stanu granice.

Szło mu o zarzucenie jakiego takiego stolowania na maleńką izdebkę, w której chciał żonę swą ukryć; zrana nie było jeszcze belek: musiał je pozaciągać, a łąty i koły sparte na nich wieczorem, zastępowały jako tako brakujący daszek. Zarzucił je Tumry słomą, ziemią, trzaskami, czém miał; okienko niezaszklone zasuwą naprędce wystruganą obwarował, lecz drzwi nie było zrobić z czego...

Gdzie tu dostać lada jakich choćby desek lub tarcicy? Zadumał się Tumry, zadumał, ale nic w głowie znaleźć nie mógł; na drzwi rady nie było.

Północ już nadchodziła i kury piałły na wsi, a księżyc rozbiwszy chmury, półtwarzą wychylał się ku ziemi, gdy cygan

siadł znużony, myśląc i przemyślając nad drzwiami. Gdyby nawet mógł kupić tarcic, jak tu je przywieźć? Wójt przyjaciel, teraz trzymając z gromadą, nie pomógłby już biedakowi.

Sen wreszcie zamknął powieki spracowanego, ale i we śnie drzwi nie dały spoczynku. Ciało zasnęło, dusza pracowała jeszcze latając po świecie myślami niespokojnymi. I jak się często zdarza silnie zaprzątntonym pragnieniem jakimś, we śnie dopiero Tumry znalazł drzwi swoje. Przed samym cmentarzykiem, naprzeciw w rowie leżał zbutwiały i przepruchniały mostek, nieużyteczny zupełnie, bo wrotka cmentarza teraz położone wpoprzek, miejsce jego zajmowały. Tumry mógł zabrać kilka desek zgniłych nie czyniąc szkody nikomu.

Na tę myśl serce mu zabiło, obudził się, oczy przetarł; potrzeba było zaraz to spełnić, by po dniu kto kradzieży nie dojrzał; i choć się lękał zbliżyć do świeżej mogiły, wola gorąca popchnęła go gwałtownie: – poszedł ku cmentarzykowi.

Księżyc jakby go śledził, zakryty na chwilę, ukazał się znowu, zajaśniał i pomógł biednemu, który wlaższy pod drzwi leżące, namacał kilka desek, zgarnął je, pochwycił i uciekł, czując jakby go cmentarne goniło powietrze.

Długo potem jeszcze dyszał niespokojny, ale radość zwycięstwa dodawała mu odwagi; położył się nareszcie pokrywając sobą wilgotną zdobycz swoją i usnął.

Zbudził się ze dniem, a przypomniawszy, że miał już z czego zbić drzwiczki, porwał się znowu do roboty; ale zaledwie ciosać

zaczął i przymierzać deski, czoło się jego zasepiło: ujrzał na nich głęboko wyrznięty krzyż, rok i jakieś znaki, po których kradzież jego łatwo poznać było można. Ręce mu znowu opadły.

Odrąbać tych znaków nie było podobna; spróbował je zgładzić, ale wilgoć przejadła deskę na wylot prawie i krzyż choć zdarty, plamą czarną w głębi drzewa wychodził ciągle. Jakiś zabobonny strach na widok tego niezagładzonego godła owładnął cyganem, chwycił wszystkie deski znowu, przebiegł drogę z nimi i zarzucił je pod mostek.

Chwilę tylko jednak trwało wahanie, bojaźń, niepewność; siekierę założył na ramię i puścił się w las. Żywej duszy nie spotkawszy na polu, wbiegł w zarośla szumiące jesiennym suchym szelestem, rozglądając się w nich i nie wiedząc co począć. Myśl pracowała w nim tak żywo, że wszystkie deski, jakie gdzie spotkał w życiu, przychodziły mu na pamięć, widział je ze wszystkimi ich szparami, sękami, ćwiekami w nich sterczącymi, ale żadna nie mogła mu na te nieszczęsne drzwi posłużyć.

Szedł tak sobie dalej a dalej, wiedziony instynktem jakimś, bez ścieżki i drogi, gdy go przestraszył głośny śmiech dający się słyszeć tuż blisko. W każdym spodziewając się nieprzyjaciela, Tumry stanął gotując się do obrony i brwi nasrożył; obejrzał się: pod sosną siedział mały człowieczek.

Dobryto był znajomy cygana: zwano go we wsi głupim Jankiem: nieokreślone stworzenie, pół waryata, pół mędrca, postać osobliwsza i człowiek nie jak drudzy. Głupi Janek mógł

mieć lat dwadzieścia kilka, ale znacznie wydawał się starszym: twarz miał blado-żółtą, schorzałą, wykręconą jakby od wielkiej choroby, i żaden włos jój nie zarastał; oczy ciemne, maleńkie, sterczały wśród niej, jak dwie tarnki okrągłe... Małego wzrostu, rąk bardzo długich, nówek cienkich i nieproporcjonalnie krótkich, co się jeszcze dziwniej przy rozrostłej i olbrzymiej głowie wydawało. Janek podobny był bardzo do tych poczwara leśnych, któremi wyobrażnia ludu zasiewa puste ostępy i bory. Od dzieciństwa za bezsilnego i na nic niezdatnego uznany w chacie, Janek włóczył się i robił co chciał: albo na piecu i za piecem wysypiając się na grochowinach, lub po lesie wałęsając się – co wolał. Znały go we wsi wszystkie psy i dzieci, bo jedne zawsze za nim ujadały, a drugie go prześladowały nielitościwie; krewni, siostry, bracia, wszyscy nim poniewierali, a często mizerny kawałek chleba który wyprosił, gorzko mu wymawiano, choć niesprawiedliwie, bo Janek spełniał dobrowolnie najcięższe posługi. Nosił wodę, dźwigał drwa, zbierał grzyby, obijał konopie i podejmował się ohotnie, czego kto inny zrobić nie chciał. Janek nawet mimo głupoty, którą mu przyznawano, wcale nie był głupim; ale że się śmiał prawie ze wszystkiego, co słyszał, ruszano nań ramionami, i nazwano szalonym. Dziwne położenie biédnego karła nie rozjątrzyło go wcale przeciwko ludziom, owszem wesół zawsze, uśmiechnięty dla każdego, do rozmowy chociaż szeplenił i trudno mu z nią szło, gotowy; chętny do pomocy każdemu, od niejednego rozumnego wart był więcej. Ale we wsi, jak na szerszym świecie, gdy kogo raz głupim

okrzykną, niechże się z tego wyplącze! Janek pozostał głupim i może temu winien był swoją swobodę.

Spotykali się oni z cyganem w lesie nieraz, a biedny włóczęga uczuł dla podobnego sobie biedaka jakieś politowanie; rozpoczynał z nim rozmowy, pokazywał mu gdzie jakiego drzewa trzeba było szukać w lesie, dawał czasem parę grzybów. Tumry oswoił się powoli z głupim Jankiem i już go nie liczył za nieprzyjaciela.

– A! a! – odezwała się poczwarka siedząca pod starym dębem z uśmiechem, który podobniejszy był do skrzywienia niż do wesołej miny – dobry dzień, panie młody: czego to w lesie szukasz?

Cygan potarł czoło, wstyd mu było powiedzieć; ale Janek mógł pomóc.

– Może kalinowego stołu? może cisowego progu do chaty? – mówił dalej chłopak i począł śpiewać jakąś piosnkę weselną o kalinowym moście. Zanucił piszczącym, schrypłym głosem, przerwał i zbliżył się do cygana:

– Gadajże kochanku – rzekł przymilając się – czego ty taki zadumany? co to tobie? A to brzydko nazajutrz po weselu patrzeć po lesie, jakbyś już gałęzi szukał! No! co tobie trzeba? może ja ci pomogę?

– Podobno ani ty, ani nikt, chyba diabeł, rzekł chmurno Tumry.

– E! fe! kochanku, cyganku, serduszko, gołąbku – począł Janek – na co tobie tego szlachcica wzywać w takim ciemnym

miejscu? Ja się go i na polu boję! Ot! lepiej powiedz co tobie braknie, już ja ci pewnie pomogę i bez niego.

– Gdzie tam! – rzekł cygan – chatę jak chatę, polepię jakkolwiek; ale drzwi, pęknij, nie mam z czego zrobić! Deski nie upiuję, ani kupić jój, ani nawet ukraść.

– A tybyś ukradł!?! – śmiejąc się i grożąc spytał Janek. – Cyganku, kochanie, nie dziwuję się, że tego jegomości wspominasz! Fe! gołąbeczku! na co tobie cudze brać, kiedy i tak poradzić sobie można...

– Jakim sposobem? – spytał cygan.

Wszak to, co niczyje, tego wzięwszy człowiek nie kradnie – rzekł zamyślając się z udaną powagą głupi Janek.

– A zapewne.

– Otóż tu w lesie jest stara buda – szepnęła pocichuteńku chłopak – bardzo stara, tylko że się nie wali. Kiedyś w niej mieszkał leśniczy jakiś, ale się na drzwiach powiesił; od téj pory opuszczono chatę, a drzewa z niej nikt nie weźmie pewnie: może tybyś był odważniejszy? Jabym go nie ruszył, ale kiedy chciałeś diabła, nie mówiąc złego słowa, prosić o tarciczkę, toż i tę wziąć możesz.

– A gdzie to? – zapytał gorąco cygan.

– Chodź, ja cię zaprowadzę – odpowiedział Janek, schwycił kij ogromny wyższy od siebie i nuż sadzić przez pnie i krzaki.

Choć niezgrabny i krótkonogi, Janek tak był wprawny do chodu i tak się dobrze znał z lasem, że cygan ledwie go mógł napędzić; niekiedy obejrzał się, uśmiechnął, przyzastanowił, i

znowu dalej. Po drodze to grzyba chwycił do torby, to krzak jagód wyrwał z ziemi, to się zaczął na wiewiórki przebiegające od drzewa do drzewa. Tumry milczący nie spuszczał go z oka, szedł w milczeniu.

Kręcili się po lesie około godziny, aż nareszcie w gąszczu zapustów młodych, Janek pokazał zdaleka palcami cyganowi coś nakształt zrujnowanej chaty. Trudno było poznać teraz, czym to dawniej było, bo dach opadł, ściany się porozsuwały, postarzały kluczyny, komin pleciony rozwalił, a zielska i trawy objęły w swoje władanie tę dawniej ludzką siedzibę. Pod jedną z jej ścian jakoś przysłoniętą od deszczu, stały nieforemne drzwiczki, na których wisiała jeszcze resztkę sznuru przegniłego. Cyganowi aż oczy pojaśniały; rzucił się ku temu skarbowi, schwycił go, ale ledwie dotknięte, w rękę mu się rozsypały.

– Otóż masz! – krzyknął Janek – szkoda naszych nóg, cyganeńku: i to próchno!

Nie byłoby jednak próchno całkowite: kilka się tarciczek choć podziurawionych przydało. Tumry podziękował swemu doradcy, zarzucił je na plecy i zawrócił.

– Cóżto ty myślisz sobie sam wziąć wszystko? odezwał się towarzysz – a mnie to gołąbeczku nic nie dasz?

– Albobyś ty dźwignął? – uśmiechając się z politowaniem odparł cygan.

– Dajże mi połowę, a spróbuję! – odpowiedział głupi Janek. Zdziwił się niepomąłu Tumry, ujrzawszy jak niedołęzne to naporóż stworzenie, lekko, zręcznie i bez trudu niosło swoje

brzemie, podśpiewując.

Ani się spostrzegli, gdy rozmawiając stanęli nad brzegiem lasu. Tu Janek deski swoje porzucił, ukłonił się słomianym kapeluszem cyganowi i szepnął:

– Ruszaj sobie kochaneczku sam; jakby mnie z tobą ludzie zobaczyli, powiedzieliby, że my obadwa czarownicy, a mnieby może i chleba za to w chacie nie dali. Bywaj zdrów! Ot patrzaj, że i głupi Janek na coś się zdał! Cha! cha! jaki ja wielki pan, co jeszcze drugiemu świadczę! Gwałt! gwałt! a to cud! – Wziął się w boki – cha! cha! i śmiejąc się do rozpuku, poleciał do wsi co miał tchu.



Motruna z krówką swoją powoli szła do miasta i płakała biedaczka; płakała, aż za łzami świata jéj widać nie było. Droga wiodła przez wioski, przez wielki gościniec; ludu na niéj wiele, a każdy co przechodził zwracał oczy na piękną, młodą, ustrojoną kobietę, która z chudą krówką szła płacząc. Żydzi zwłaszcza domyślając się, że bydlę było na sprzedaż, a łzy dowodziły pozbycia się, kilka razy Motrunę zatrzymywali. Dawano jéj coraz mniej za staruszkę, której chude boki i najeżona sierć, niebardzo zachęcały, i tak dowlekła się do miasteczka.

Wiatr trochę łzy osuszył, myśl się rozkołysała widokiem bożego świata, potrzeba było pomyśleć o przyszłym gospodarstwie, i Motruna stanęła na targu, zadumana co pocznie.

Tu ją zaraz obstawili żydzi, żydówki, żydzięta, wieśniacy i targ się rozpoczął na bydlę, którego niepozorność a zatem i taniość zwabiała wszystkich uboższych. Ani się opatrzyła jak przybito rękę, jak wyliczono pieniądze, wzięto postronek i krówka z oczu jęj zniknęła. Na dłoni miała młoda gospodyni trzydzieści kilka złotych; ale jakże to było mało na tyle potrzeb, na cały dom! Poszła kupować zapomniawszy płakać; ale nowa bięda, gdy się to wszystko zebrało: i garnuszki i wiadro i dzbanek i sito i dziezka i niecółki – niepodobna jęj było zabrać tyle sprzętu.

Musiała szukać kogoś, coby z targu jechał na Stawisko do domu i powracał próżno: ledwie więc pod noc zwlókłszy co kupiła, ruszyła ku domowi. Jechali wołami, najęty chłopak był pijaniuteńki; po drodze góry wielkie, noc ciemna, jeden Pan Bóg strzegł i prowadził. Z każdego pagórka wóz staczał się z łoskotem i zdawało się, że w kawałki poleci; ale stawał jakoś szczęśliwie w dolinie i woły szły dalej powoli, choć gospodarz ich sparszy głowę na nowęj dziezce, usypiał szczęśliwie.

Dobrze już dniało, gdy wóz się zastanowił naprzeciw cmentarza. Motruna ujrzała Tumrego zbijającego drzwi i z dumą poglądującego na swoją lepiankę. Młoda kobięta oczom swym wierzyć nie chciała: cudem się zapełniły ściany, zapełniła ściel, przygotowały nawet drzwiczki! Stanęła, złożyła ręce i złękła się nawet trochę, bo pomyślała, że kto wię – cygan czarownikiem być może. Czary to były woli i odwagi...

Zniesiono co kupiła Motruna, ale na rozmowę na pociechę, na spoczynek nie było chwili czasu; on musiał tworzyć swój szałas,

ona myśleć o chlebie i wodzie, bo tych dotąd nie było w chacie. Trzeba było iść po wodę do dalekiego źródła, żeby się z kim ze wsi nie spotkać, zamiesić choć placek, bo na chleb pieca jeszcze nie było, i zwarzyć choć garść kartofli przywiezionych z miasta.

Cygan tymczasem siekiery z rąk nie puszczał i gnał się z robotą. Drzwiczki wreszcie prawie całe się zlepiły, choć więcej w nich było sztuki niż w najmisterniejszego snycerza pracy, około wytworzonego sprzętu. Stare deski rozpadały się za dotknięciem, dziur w nich było mnóstwo, musiał je cygan łątać, zabijać, sztukować i wiązać, gdzie kołkiem, to znów listewką, a nawet sznurkami; wszystko mu było dobre, byle trzymało. Ale co za zwycięstwo gdy na wrzeczadkach osikowych, skrzypnęły raz pierwszy drzwi chaty cygana, gdy je zamknął i zasunął, gdy pomyślał, że je z niczego prawie utworzył!! Za te drzwi oddałby był całą chatę, taką mu w sercu sprawiły uciechę.

Uśmiech jego, wywołał wesela trochę na smutną twarz Motruny, siedli w kątku nowój izby, na kupie mchu, którym mieli resztę szpar pozatykać, rozłamali pierwszy kawałek chleba pod ścianą swój chałupki i cyganowi łyzy strumieniem polały się z oczów.

Zobaczył przyszłość przed sobą.

Tom II

Jest w człowieku siła, na której rzadko kto się poznał, rzadko kto użyć jęj umiał. Siła to czarodziejska, która dokazuje cudów: podbija pod swą władzę wszystko co ją otacza, pęta żywoły przeciwne, walczy zwycięzko z czasem, przestrzenią, zniszczeniem; której potęgą wznoszą się dzieła olbrzymie, stają się cuda niepojęte – tą siłą jest wola!

Słówko, ale co w tém słowie! Jakie skupienie władz wszystkich, jakie spotęgowanie człowieka! Rozbierz wolę, a znajdziesz w niej treść i istotę najwyższych przymiotów ludzkich; tą jedną sprężyną pociągnione, wchodzą w ruch i działanie siły nieznane, uśpione, nadziemskie, których nic nad nią poruszyć nie zdoła. Ustaje woli działanie, a zmienia się cały człowiek: słabnie, osuwa się, upada i niknie!... Wola nie jest wyłączną potęgą geniuszu, talentu, rozumu; każdy ją mieć może, kto ją w sobie wyrobił, i od najlichszego robaka ziemi, każdy nią cudów dokaże. Całe życie praktyczne stoi na woli; brak jęj czyni niewolnikiem³, jak posiadanie jęj władcą. Na téj osi obracają się koła losów, niewidzialną kierowane dłonią, ale poruszane jedną siłą woli.

Nie wiem, czy więcęj się dziwić potrzeba olbrzymim piramidom egipskim, celi pustelnika wykutęj dłonią drżącą w twardęj skale, czy chacie cygana zlepionęj niczém z niczego?

³ *niewolnik* – wyraz cudowny, malujący nie-wolę, to jest człowieka bez-woli. [przypis autorski]

Zmierzcie siły i ich skutki, a otrzymacie wypadek sprawiedliwy: bo wielkość dzieła rachuje się władzą jego twórcy. Drobny, niewidzialny otworek, który wyrzył robaczek w drzewie, dla mnie przynajmniej jest tak zadziwiającą budową, jak tunel pod Tamizą, żłobiony ręką i myślą ludzi tysiąca. Ciężar jaki mrówka dźwiga na swój *tumulus*, złożony prawie z mikroskopijnych okruchów, wzbudza większe podziwienie we mnie, niż obelisk luxorski przyciągniony do Paryża. Tak samo i w sprawach ludzkich: bylebyś wpatrzył się w ten świeatek maluczki, na który mało kto oczy obraca, znajdziesz w nim i piramidy, i dzieła olbrzymie, i cuda stworzone jedną tylko wolą, może bardziej zdumiewające niż to, czemuśmy codziennie dziwić się przywykli.

Naprzeciw cmentarza w Stawisku wznosiła się już chatka, dzieło jednej silnej woli, zdumiewające ogromem, choć liche z pozoru. Nikt nie pomagał dźwigać drzewa, nikt go prócz cygana nie ciosał i nie spajał, nikt nawet dobrém życzeniem nie wsparł osamotnionego robotnika; a jednak sklecił tę lepiankę, po każde polano drzewa chodząc z osobna do lasu, każdy dyl dźwigając na plecach pod górę, i za wyostrzenie siekiery pracując u kowala, bo mu inaczej jak czasem swoim zapłacić nie mógł.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.